

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

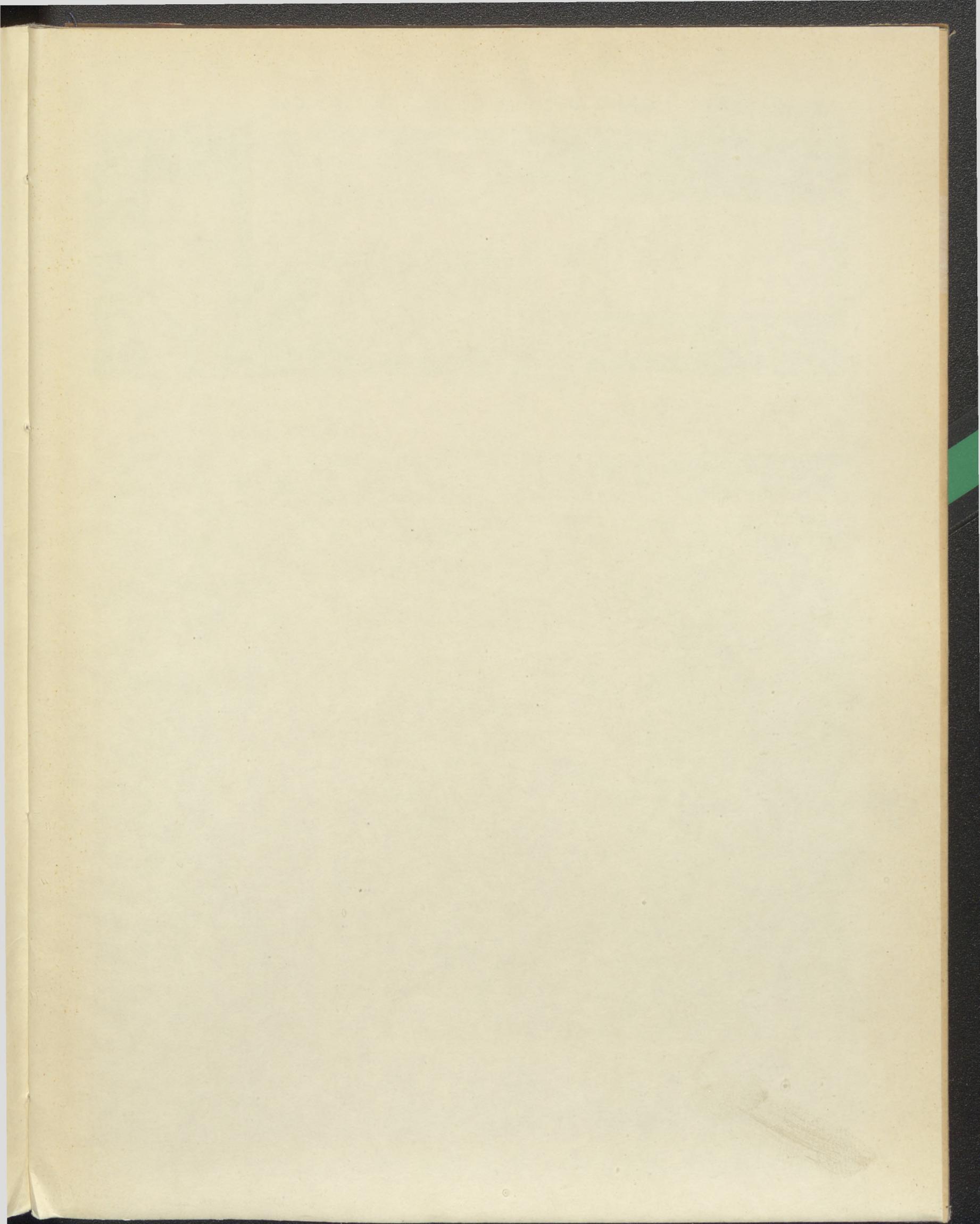
BN

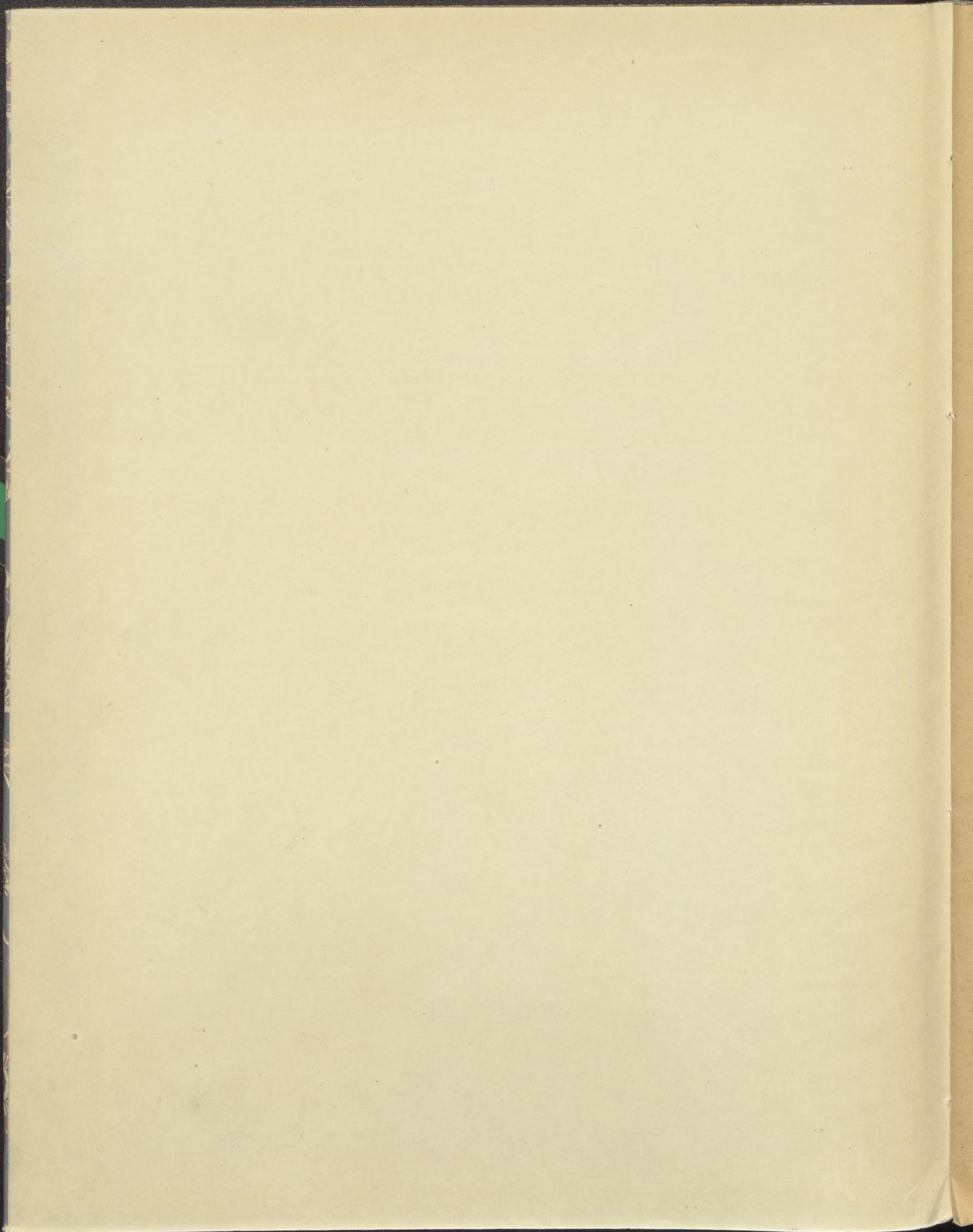
623405

7



This page is blank and contains no text.





Nr. 7.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

GRAJĄCA WIEŻA





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

GRAJĄCA WIEŻA

Pokój śmierci.

W więzieniu, naprzeciwnie, działy się jakieś rzeczy niezwykle!...

Miss Delfina Sharp przetarła zamszową skórka szkła swego najmocniejszego teleskopu, usadowiła się wygodnie w fotelu w swym obserwatorium i znów nastawiła potężną lunetę w ten sposób, aby widzieć, co się dzieje w tej dopiero od wczoraj oświetlonej, niby celi, niby elektrycznej stacji rozdzielczej...

★

Miss Delfina Sharp nie była zapewne najbardziej utalentowaną pisarką Zjednoczonego Królestwa. Co do tego nie było wątpliwości. Ale, z drugiej strony, nie było również najmniejszej wątpliwości, że Miss Delfina była najbogatszą i najoryginalniejszą ze wszystkich kobiet, piszących w języku angielskim.

Bogactwo tej ekscentrycznej niewiasty było doprawdy bajeczne, pochodziło bowiem ze spadku, który odziedziczyła po ojcu, wysokim dygnitarzu angielskim na dworze maharadży z Nepalu. Oryginalność zaś tej autorki dość poczytnych nowel i powieści polegała na tym, że oświadczyła tysiącom „wielbicieli”... swego majątku — że za mąż nie wyjdzie nigdy, i że za mieszkanie obrała sobie potężną wieżycę obronnego zamku, położonego daleko za miastem.

Wieża miała kształt dokładnie cylindryczny. Wysoka była blisko 25 metrów i od parteru, gdzie mieszkała służba, do samego szczytu, gdzie posiadała swe dwa pokoiki miss Delfina, nie było w niej ani jednego okna. Całość stanowiła jednolity maszyn z kamienia, cegły i zaprawy.

Schodów w tym dziwnym mieszkaniu również nie było. Z pokoiów służby do swego napowietrznego apartamentu miss Delfina dostawała się za pomocą windy, którą tylko ona jedna uruchamiała. Na uwagi, że przecież może się zdarzyć, iż zabraknie prądu, albo winda zepsuje się — oświadczała pomysłowa literatka, iż w takich wypadkach będzie można zawsze przystawić do jej okien na szczycie wieży... drabinę strażacką.

Dziwne to mieszkanie stało na uboczu Wood

Lane, na terenach dawnej wystawy Franko - Brytyjskiej i otoczone było dużym, mocno zaniedbanym ogrodem oraz wysokim i gładkim murem.

Aby już zakończyć opis samej budowli, dodać należy, że wieża zakończona była kopulastą i że miss Delfina urządziła w niej niewielkie obserwatorium astronomiczne. Kto zapragnąłby przyjrzeć się bliżej owym studiom astronomicznym literatki — ten by niechybnie przekonał się, że miss Sharp częściej przebywała w swym obserwatorium w dzień, niż w nocy i że jej wielkie teleskopy skierowane były nie na niebo, ale na okna położonego opodal więzienia w Hammersmith.

Obserwacjom tym zawdzięczać będzie po wielki literatura światowa powieść tej miary co „Wielki Zbieg”, w której autorka — miss Delfina Sharp — ujawniła rzetelną znajomość życia więziennego. Gdyby nie te obserwacje, nie byłoby również i naszego dzisiejszego opowiadania o jednej z najniesamowitszych przygód znakomitego detektywa Harrygo Dicksona.

Tak jest, w więzieniu, naprzeciw wieży miss Sharp, działy się rzeczy istotnie niezwykle!...

★

Przed paru dniami miss Delfina stwierdziła, że do pokoju, w którym mieścił się dotąd skład starych rupieci — przybyli robotnicy w niebieskich fartuchach i poczęli wynosić stare łóżka żelazne, stolki, prycze, pogięte wiadra i t. d....

Potem zjawił się cały sztab malarzy... Najpierw zdrapali ze ścian starą i odpadającą już w kawałach farbę... Później przyszli ludzie z całówkami, planami i rysunkami, i z kolei poczęli coś na ścianach odmierzać i rysować... Pracowali w skupieniu i od czasu do czasu gdzieś wychodzili, widocznie, aby się z kimś poradzić... Sprowadzili wreszcie człowieka, który, widać, kierował robotami. Był to mężczyzna cherlawy, niemłody, w krótkiej marynarce starego kroju... Nie trzeba było być wielkim psychologiem, aby stwierdzić, że ten człowiek był uczonym.

Pod wodzą owego szczupłego pana w krótkim surducie, który później prawie stale dozorował roboty — dawny skład rupieci przeobrażał się w jakąś pracownię naukową, czy coś w tym rodzaju!...

Jacyś ludzie, najpewniej elektrycy, znosili całe maszyny i urządzenia elektryczne. Niektóre z nich przypominały kondensatory, inne — wielkie jakieś solenoidy, transformatory i t. d...

Panna Delfina Sharp nie mogła sobie zdać sprawy dlaczego tak się działo, ale na widok tych wszystkich aparatów i przyrządów — czuła lęk i jakiś dziwny, podświadomy niepokój. Postanowiła przeto nie tracić z oczu owego okna w więzieniu w Hamersmith, za którym się odbywały te dziwne rzeczy.

Trzeciego dnia, gdy już w tajemniczym pokoju zostało wszystko ustawione i zmontowane, i gdy szczupły uczony, z zadowoleniem pocierając dłonie, próbował działania poszczególnych instrumentów — miss Delfina zauważyła kilku wyższych urzędników ministerstwa sprawiedliwości, oglądających z wielkim zainteresowaniem całe urządzenie pokoju.

— Ciekawa jestem — mówiła do siebie głębokim altem — co tam się dzieje... Wszystko lśni i błyszczy, pan profesor jest bardzo zadowolony... Ale o co panu profesorowi chodzi?...

W więzieniu rozległ się capstryk. Nim zamilkły tony trąbki — pogasły wszystkie światła w celach i prawie całe więzienie pogrążyło się w mroku ciemnej nocy. Tylko w jednym, jedynym oknie, a mianowicie w pokoju o dziwnych maszynach — światło nie zgasło. Palilo się teraz mocne, jasne i oślepiająco białe.

Z wielką szybkością nadjechały dwa duże samochody. Rozległ się ostry, donośny głos trąbki samochodowej. Spoglądając przez teleskop, pisarce wydawało się, że ten przyrząd optyczny jest równocześnie jakąś maszyną akustyczną i że nie tylko powiększa przedmioty i pozornie je zbliża, ale również wzmacnia dźwięki. Tak bowiem przenikliwy był ton sygnałów tych dwóch dużych samochodów, które nie czekały pod ciężkimi wrotami ani chwili i zniknęły za nimi, nie zmniejszając prawie swej wielkiej szybkości.

Po chwili tajemniczy pokój wypełnił się ludźmi. Miss Delfina od razu poznała kilku z obecnych: był wśród nich dziekan wydziału medycznego — znakomity chirurg profesor Buley, był prof. dr. Weiler, głośny badacz mózgu, był jeden z wiceministrów sprawiedliwości oraz sędzia Sądu Najwyższego.

Panowie ci i inni jeszcze, których miss Delfina nie знаła, przyglądali się aparatom, badali je dokładnie i zaznajamiali się z ich konstrukcją.

Wyjaśnień udzielał ów szczupły i niski uczony, typowy, zasuszony profesor. Z wyraźnie zadowoloną miną otworzył wreszcie drzwiczki szklanej klatki i zaprosił do niej wiceministra. Ale członek rządu gestem stanowczym odmówił. Na jego twarzy odmalował się prawie lęk. Coś go widać mocno w tym zaproszeniu zraziło.

Uczony spojrział wreszcie na zegarek i dał znak jednemu z obecnych. Człowiek w mundurze straży więziennej niezwłocznie wyszedł z pokoju. Pozostali przestali się prawie poruszać.

Nagle scena za jasno oświetlonymi oknami zmieniła się. Obecni usunęli się ze środka pokoju. Weszło dwóch dozorców w pełnym umundurowaniu i z odznaczeniami, którzy wiedli między sobą człowieka zakutego w kajdany na rękach i nogach. Po chwili wszedł pastor.

Miss Delfinę przeszedł dreszcz.

— Rozumiem teraz wszystko — rzekła do siebie swym niskim głosem — próba stracenia skazań-

ca na fotelu elektrycznym! Zaczynamy w Anglii naśladować sposoby amerykańskie! Straszne, ale i bardzo, bardzo interesujące!...

W tym momencie człowiek zakuty w łańcuchy stanął na środku pokoju, oświetlony pełnym światłem silnych, białych lamp. Był wysoki i suchy, a jego twarz wychudzona czyniła go podobnym do jakiegoś drapieżnego ptaka. Nie nosił na sobie ubrania więziennego, lecz czarny dobrze skrojony garnitur wizytowy, a białosc jego bielizny wydawała się nieskazitelna.

— Oglądałam podobnego tego człowieka w czasopiśmie ilustrowanych — rzekła nagle do siebie miss Sharp. Przecież to Harold Bolton, skazany na śmierć za zabójstwo bankiera Waltera przy Park Lane.. Zgodził się on podobno bez wahania, aby być pierwszym skazańcem w Anglii, straconym nie na szubienicy, ale na fotelu elektrycznym.

Posługacz więzienny przyniósł zwykle białe krzesło. Jeden z dwóch dozorców zamierzał przymocować skazańca do krzesła, ale Bolton uczynił gest protestu i sam zasiadł na krzesło, które ustawiono w szklanej klatce.

Skazaniec zwrócił się nagle do profesora i rzekł mu coś do ucha. Lekarz wyjął z kieszeni papierosnicę i poczęstował skazańca, dając mu również ognia. Harold Bolton palił spokojnie, wyrzucając z ust duże kłęby błękitnego dymu.

Jeden z obecnych (Delfina poznała w nim monter, zatrudnionego przy instalacji tego pokoju karni) począł manipulować przy przełącznikach. Trzy lampy na tablicy rozdzielczej zajarzyły się teraz, z bladej czerwieni światłem ciemno - czerwonym, jakby krwawym.

Lekarz położył dłoń na sporym drążku ebonitowym i ostrym ruchem przechylił go. Obecni instynktownie cofnęli się aż pod ściany...

W tej samej chwili światła na dziedzińcu więziennym poczęły z lekka migotać.

— Światło skacze... Światło tańczy... — miss Delfina przypomniała sobie jakie ponure wrażenie czyni takie migotanie światła na więźniach amerykańskich i otrząsnęła się...

— Skończone wszystko! — rzekła do siebie pisarka.

Harold Bolton jakby się skurczył i obsunął.

Doktor otworzył drzwi klatki i dał znak dozorcóm. Dwaj z nich podeszli do straconego. Ujęli go za nogi i pod pachę. Zupełnie bezwolne, martwe ciało opadało im przez ręce...

Zwłoki położono na dużym stole. Doktor przyłożył do serca słuchawkę i zręcznym ruchem otworzył powieki. Potem machnął ręką. Dwaj uczeni, obecni przy egzekucji dotknęli pulsu Harolda Boltona. Profesor Buley jakby się przez chwilę zastanawiał, ale potem uczynił również gest, jakby chciał powiedzieć:

— Trup!...

Ciało skazańca wynieśli sanitariusze.

Obecni poczęli wychodzić. Żegnali się z profesorem jakoś dziwnie chłodno. Kilku wyszło bez pożegnania.

Profesor, mały, suchy człowieczek, pozostał sam.

Przyglądał się długo aparatom i wreszcie, jakby mu żal było z nimi się rozstawać — wyszedł ostatni, gasząc światło.

Delfina Sharp przerwała swoje obserwacje „astronomiczne“. Reszta wieczoru minęła jej na

rozmyślaniach nad marnością człowieka. Kilka przełączników, parę drutów i zwoi, dłoń poleżora na drażek i... koniec.

Sensacyjne nowości.

— Oto Londyn, wyłaniający się ze mgły... — rzekł Harry Dickson do swego ucznia, Toma Willsa. — Już znów jesteśmy w mieście... Za kilka minut — koniec podróży.

Słynny detektyw powracał z krótkich wakacji, które, jak zwykle, spędził ze swym nieodłącznym i najbardziej oddanym przyjacielem — Tomem.

Pociąg, trzeszcząc i skacząc na zwrotnicach podmiejskich, jechał już znacznie wolniej.

— Osiem dni bez gazet!... Osiem dni wśród jezior szkockich z wędką w ręku! Użyło się trochę — rzekł Tom Wills, — ale szkoda, że tak mało, że tak bardzo szybko te dni minęły.

— A ile teraz będzie roboty w domu?... Same listy, które na nas czekają... Napracujesz się, Tomie, nad samym otwieraniem kopert.

Missis Crown, gospodyni Dicksona, czekała na swych dwóch panów ze zwykłym sobie uśmiechem, ale i z rzadko odstępującą ją gderliwością.

— Witam! Nareszcie się panów doczekałam! Już myślałam, że nie przyjdziecie. Już mi się zdawało, że do końca dni moich będę musiała codziennie wyłgiwać się setkom ludzi, którzy tutaj telefon obrywali... Zdaje mi się, że pan będzie miał dużo roboty. Coś się musiało stać w Londynie. Drzwi się w domu nie zamykały.

Harry Dickson spojrział w poczciwe oblicze swej gospodyni:

— Przesadzamy trochę. Nieprawda?... Było parę osób, miało do mnie interes kilkunastu panów, telefon trochę dzwonił, ale chyba nie za wiele... Ale żeby aż się w Londynie coś stać miało?...

— Powiada pan, że przesadzam? — obruszyła się missis Crown. Nie przesadzam ani trochę. Najbardziej podobno jakaś pisarka, która mieszkała aż w wieży, uciekła z niej, czy też wyleciała. Powiadają, że wyleciała, jakby miała skrzydła, a ja powiadam, że przyjechał samolot i ją zabrał. Bo przecież inaczej być nie może, niech pan szanowny sam powie?... Po tym jest jakiś skazany na śmierć, który uciekł. Powiadają, że uciekł po śmierci. Tutaj też niby się jakiś cud miał stać, ale ja powiadam, że cudów nie ma i że jak pan przyjedzie, to wszystko będzie wyjaśnione. Może myśli pan, że na tym koniec?... Do trzech razy sztuka... Ten, co to miał uciec po śmierci — zdaje się, że nim uciekł, zabił tego profesora, który go badał po spaleniu na krześle elektrycznym. Naturalnie, że żaden nieboszczyk nie zabił tego profesora, tylko pewnie jakiś bandyta, przyjaciel tego zabitego — zemścił się na nim. Mówiłam to panu Goodfieldowi, który tu przychodził, aby pana wezwać do pomocy.

— Ma też pan po co wzywać naszego pana — powiedziała. — Zemsta i nic innego. Harry Dickson takimi głupstwami nie będzie się zajmował. Tak powiedziałam panu Goodfieldowi. Posłuchał, pomyślał i nawet potarł podbródek...

Dzielną niewiasta ujęła się pod boki i czekała na uznanie ze strony detektywa i jego ucznia.

Dickson uśmiechnął się do Toma, który, serdecznie ubawiony, zrobił grymas, jakby się bardzo, bardzo głęboko zamyślił:

— Posłuchajcie najgłośniejszego kobiety - detektywa — missis Crown! Jutrzejczy „Daily He-

rald“ przyniesie nowe wynurzenia genialnego detektywa w spódnicy!...

— Łatwo się panu śmiać, zbytniku jeden!... A zresztą — to nie moja sprawa. Zobaczą, co wam zrobić na obiad... Nie będę więcej nic mówiła i basta. Czytajcie sobie sami gazety...

I missis Crown z miną urażonej królowej wyszła z pokoju.

Harry Dickson od razu wszedł w tryby dnia powszedniego. Zabrał się do poczty. Na szczęście, listów było o wiele mniej, niż oboje przewidywali. Potem przysłała kolej na gazety.

Rzeczywiście w ciągu tych kilku dni rozegrało się w Londynie kilka zagadkowych i posępnych dramatów. Fakty, które poczciwa missis Crown podała po swojemu — przedstawione były przez dzienniki w sposób następujący:

Na początku tygodnia stracony został Harold Bolton, bandyta, pochodzący z Ameryki, mający już szereg zbrodni na sumieniu. Za zgodą króla i rady ministrów, po raz pierwszy dokonano z tym skazańcem próby stracenia za pomocą elektryczności, według systemu profesora Brownlessa.

Skazany zgodził się na tę propozycję, tym bardziej, że profesor zapewnił mu śmierć zupełnie bezbolesną i nagłą.

Ekzekucja odbyła się w wielkiej tajemnicy, nie w więzieniu w Newgate, lecz w zakładzie karnym w Hammersmith. Doświadczenie zostało dokonane ku całkowitemu zadowoleniu profesora. Bolton został rażony śmiertelnie w ciągu jednej sekundy. Ale sprawa, mimo to, skomplikowała się poważnie.

Profesor Brownless, twórca nowego systemu ekzekucji za pomocą elektryczności, uzyskał zezwolenie, aby ciało straconego wziąć do swego laboratorium prywatnego, celem dokonania sekcji. Przedtem jednak sześciu innych lekarzy miało zbadać ciało i orzec zgon delikwenta.

Stracenie odbyło się około północy. Już o godzinie trzeciej nad ranem dwaj pielęgniarze więzienia dostarczyli ciało do mieszkania profesora w ponurej dzielnicy Herlesden Green, zresztą bliskiej więzienia. Lekarze mieli przybyć do pracowni profesora w godzinach popołudniowych. Ale, jak twierdzi służba profesora — ich pracodawca pozwolił sobie tylko na krótki odpoczynek i już o czwartej rano słyhać go było w pracowni.

O godzinie 8 rano, gdy profesor nie przybył do jadalni na pierwsze śniadanie, a był to człowiek bardzo punktualny — lokaj zapukał do drzwi pracowni.

Nikt nie odpowiadał. Drzwi były zamknięte od wewnątrz i służący nie mógł się dostać do laboratorium.

Gdy i o dziewiątej profesor nie dawał znaku życia i na pukanie nie odpowiadał — lokaj postanowił dostać się do wnętrza pracowni przemocą.

Wezwał całą służbę i sforsował zamek.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyli, było ciało doktora, leżące na stole sekcyjnym.

Co było jednak bardziej przerażające, to fakt, że nosze, na których przyniesiono trupa skazańca — były puste! Obok leżało kilka skrwawionych narzędzi: skalpli, pincetek i t. p.

Umysłem romantycznym niewiele byłoby trzeba: nie prostożego, jak następujące fantastyczne wyjaśnienie całej sprawy: Bolton nie umarł, tylko zapadł w letarg. Pod wpływem noża chirurga odzyskał przytomność, zabił profesora i zbiegł

Fantazja ta, jak komunikowały dzienniki, była zupełnie pozbawiona realnych podstaw. Okazało się bowiem rychło, że profesor został zabity wystrzałem z rewolweru w kark. Bolton oczywiście nie mógł mieć przy sobie broni. Ktoś przeto strzałem, danym z tyłu, zabił profesora, porwał ciało Boltona i zbiegł. Tyle donosiły pisma w tej pierwszej sprawie.

Teraz sprawa zniknięcia miss Delfiny Sharp.

Pisma zgodnie nazywały tę ekscentryczną damę najbogatszą kobietą Anglii i przyznawały jej dużą poczytność jako pisarce.

Tutaj jednak zagadka była zupełna.

Przypominamy przede wszystkim nasz opis owego mieszkania w wieży, w którym ulokowała się ta oryginalna i stroniąca od ludzi kobieta.

Delfina Sharp zniknęła tej samej nocy, w której zamordowany został dr Brownless. Nie znaczy to jednak wcale, aby sprawy te łączyły się w jakikolwiek sposób. Fakt jednak pozostaje faktem.

Ale w jaki sposób zniknęła?...

Winda, którą sama obsługiwała i którą tylko miss Delfina mogła wprowadzać w ruch, nie była przez całą noc czynna. Wrota na dole były przez całą noc zamknięte i nikt z wieży przez całą noc nie wychodził. Zamknięte były również drzwi i okna na górze, w pokoju miss Delfiny.

Służba, nie doczekawszy się wezwania z góry — zatelefonowała do pisarki, aby się dowiedzieć, jak się czuje i czy coś jej się nie zdarzyło.

Nikt nie odpowiadał. Ludzie wyszli wówczas do ogrodu i jeden przez drugiego wołali w kierunku okien na szczycie wieży. Ale okna były zamknięte i nikt się w nich nie pokazał.

Przekonany, że zdarzyło się jakieś nieszczęście, dozorca tego osobliwego domu zaalarmował straż ogniową. Strażacy przybyli ze swą najwyższą drabiną. Jeden z nich wszedł na sam szczyt, stłukł szybę w oknie, otworzył je od wewnątrz i wszedł do pokoju. Po chwili na górę weszło jeszcze kilku strażaków. Mieszkanie na szczycie było puste. Strażacy uruchomili windę i sprowadzili na górę służbę. Śladów miss Delfiny nie znaleziono.

Na miejsce przybyli najwyżsi urzędnicy Scotland Yardu z intendentem Goodfieldem na czele.

Zaprzyjaźniony z Dicksonem od dzieciństwa, intendent Goodfield próbował zastosować do dochodzenia w sprawie zniknięcia miss Delfiny, system swego przyjaciela.

Jedno tylko wytłumaczenie narzucało się intendentowi w pierwszej chwili: miss Sharp opuściła się na dół po linie.

— Ale okna... Okna były przecież zamknięte!

Opuścić się po linie wzdłuż muru — to rzecz bardzo trudna. Ot, żeby na górze był jakiś balkon — to co innego!...

Intendent tarł podbródek i myślał intensywnie.

Nie, stanowczo nie. Z tą liną jakoś rzecz nie była możliwa. A zresztą dlaczego musiała Delfina Sharp aż taką drogą wydostawać się ze swego własnego domu?.. Czy ją ktoś krepował, czy nie była panią swego domu?.. Mogła przecież zjechać windą na dół — jak zwykle, choćby noc była ciemna i głucha... Guwernantki panna Sharp nie miała...

— Gdybym wiedział, gdzie się zaszyl ten Dickson — mruzczał do siebie intendent, zasapany i mocno zirytowany... — Wyjechał i nie podał adresu. Tak się postępuje z przyjaciółmi... Niech-że go!... Dickson odłożył gazetę.

— Trzeba będzie pójść do naszego kochanego Gooda. Wcale się nie gniewam, że tak od razu wejdzimy w tryby. Życie ma tyle tajemnic, że do prawdy warto żyć i pracować nad ich wyjaśnieniem.

Byli tuż u wejścia do wielkiego budynku Scotland Yardu, gdy z daleka dostrzegli Goodfielda, biegnącego przez chodnik. Jednym skokiem znalazł się on w samochodzie, oczekującym go przed wejściem.

— Hallo! Szefie! Czy nie ma pan przypadkiem miejsca dla dwóch przyjaciół?

— Dickson! Nareszcie!...

Goodfield był szczerze uradowany.

— Jesteś! Sam, we własnej osobie?.. Właśnie jechałem do tej wieży. Jestem pewien, że już czytaliście wszystko w dziennikach. Jedziemy oczywiście razem!

— Jedziemy. Ale czego się spodziewasz po tej wieży?.. Jeszcze nie odkryłeś jej tajemnic?

— Właśnie, że nie. Wyobraźcie sobie, że wartownicy pobliskiej prochowni donoszą mi, że widzieli światło w pokoju na górze!.. Posłałem komisarza z dzielnicy. Pieczęcie są nienaruszone. A jednak trzech wartowników twierdzi z całą stanowczością, że światło było we wieży!

Drogę do osobliwego domu miss Delfiny mieli daleką, ale nie stracili czasu. Dickson poinformował się dokładnie nie tylko o stanie dochodzenia w sprawie zniknięcia pisarki, ale i o tajemniczym morderstwie doktora Brownlessa i zniknięciu ciała skazańca.

Znaleźli się wreszcie na Wood Lane, długiej i słabo zabudowanej. Z daleka ujrzeni wreszcie wyzierającą z za drzew wieżę.

Dozorca przyjął ich bardzo serdecznie.

— Jestem bardzo rad, że się panowie zjawili. Miałem już zamiar wziąć manatki pod pachę i ulotnić się tak samo, jak moi koledzy. Powiadają, że ten zakazany dom, razem z tą całą wieżą jest pełen duchów i że tutaj straszy. Jak długo była miss Sharp na miejscu, znosiliśmy wszystko, ale dziś, kiedy jej nie ma, nie ma takiej mocy, która by mi kazała zostać tutaj... Ja sam już chyba kolowacizny dostanę. Duchy grają w tej wieży, czy co?.. To za karę, za grzechy miss Delfiny.

— Co pan mówi o duchach?.. Że grają?.. Jestem ciekaw. Niech nam pan opowie wszystko, co o tym wie — zachęcał Goodfield i tak już dość rozmownego dozorcę.

Dozorca wzruszył ramionami:

— Wiele w tej sprawie powiedzieć nie umiem. Czasem wśród nocy, kiedy człowiek śpi w najlepszej, slychać w nocy jakby miauczenie, czy jakieś westchnienia. Zaczyna się od tonu ciekawego, a kończy na buczeniu bardzo niskim. Jakby coś warczało. Czasami bywa odwrotnie: Najpierw buczy, a potem miauczy... Ale za każdym razem skóra na człowieku cierpi ze strachu. A wieża jakby drżała! Ponure, jakieś prawdziwie piekielne głosy! Kiedyśmy o tym mówili miss Sharp — śmiała się, po prostu śmiała się z tego na całe gardło. Toteż przestaliśmy jej o tym mówić. Tej nocy wieża grała kilka razy. I muszę powiedzieć, że nie mam wcale odwagi, aby to wszystko opisać...

— W każdym razie niech pan spróbuje — rzekł Goodfield. — Jeżeli ten śpiewający czy grający duch znajdzie się w naszych rękach — odechce mu się muzyki... W więzieniu mu się odechce.

Dozorca spojrział na intendenta z wyrzutem:

— Łatwo sobie robić z tego żarty, jak się przy tym nie jest. Ja sam nie wierzyłem nigdy w żadne duchy, ale kiedy to fakt...

Dozorca jakby się przez chwilę namyślał.

— Opowiem panom coś — rzekł wreszcie — co jest świętą prawdą, zresztą taką samą prawdą, jak to, co mówiłem przed chwilą. Jestem, proszę panów, zaręczony. Tak jest. Moja narzeczona jest młodszą. Bardzo dużo w swoim życiu czytała książek, zwłaszcza o miłości, czyli romansów. Więc dla tego ona zawsze zamiast, aby pójść do kina, czy do kawiarni — woli spacerować wieczorem po alejach tego starego parku, zwłaszcza, gdy świeci księżyc.

Tak samo było wczoraj wieczór. Księżyc był wspaniały i spacerowaliśmy bardzo dużo. Moja narzeczona żądała, abym mówił do niej tak, jak się mówi w książkach, a kiedy powiedziałem, że tego nie potrafię, wzdychała głośno i kazała mi nie mówić, tylko sama opowiadała mi takie rzeczy, jak w teatrze.

Nagle, kiedyśmy wyszli z alei i przechodzili przez dużą murawę — Alicja chwyciła mnie mocno za rękę i powiedziała:

— Edwardzie, spójrz, czy widzisz coś tam, w oddali?

Byłem pewien, że to jest też jakieś zdanie z romansu, więc wcale nie spojrzałem. Ale ona dodała wtedy: „Tam — w wieży — świeci się!” Patrze — naprawdę świeci się!

Stanęliśmy jak wrzyci i patrzymy, co będzie dalej. Mogę panom powiedzieć, że rażno mi w owej chwili na duszy nie było. Patrzymy — a tu z wieży wygląda — kto?... Sama miss Delfina Sharp, nasza pani we własnej osobie!...

— Czy widzisz? — pyta mnie Alicja.

— Miss Delfina!

Ale wtedy moja narzeczona, chociaż jej głos drżał ze strachu, zaczęła nagle na mnie mocno się gniewać. Powiedziała, że nie mam fantazji, że wierzę tylko w to, co widzę, a tymczasem dzieją się między niebem a ziemią rzeczy, które się filozofom nie śniły...

— To nie jest miss Delfina — mówiła Alicja — to jej duch. To jej zjaw. To jej mara senna!...

— Możebyś się zdecydowała — mówię — duch, zjaw, czy mara senna?...

Alicja spojrziała na mnie wzrokiem pełnym politowania i poradziła, abyśmy pobiegli do domu.

Koło domu czekała już na nas dziewczyna z kuchni. Wieża śpiewała... Zagrała pełnym głosem...

— To grał duch nieszczęśliwej miss Delfiny — powiedziała moja narzeczona.

Dozorca uzupełnił jeszcze swe opowiadanie oświadczeniem, że jego romantyczna narzeczona niezwłocznie opuściła dom z grającą wieżą i pojechała do ciotki na wieś.

— Obowiązkiem moim — rzekł dozorca — jest pojechać za nią. Mam dosyć tych przyjemności.

Goodfield podziękował dozorcę za tak szczegółowe informacje i bez słowa, wraz z Dicksonem, Tomem Willsem i komisarzem dzielnicy — pojechał windą na górę.

Pieczenie były nienaruszone. Złamali je i weszli do pokoju.

Dickson rozglądał się uważnie.

— Jestem tutaj po raz pierwszy — zauważył detektyw — nie mam więc możliwości czynienia po-

równań. Czy cośkolwiek zostało tu ruszone, Goodfield, od twego ostatniego pobytu?

Intendent bez zastanowienia odparł, że w pokoju jest wszystko tak, jak było.

Weszli z kolei na górę, do małego obserwatorium. Uwagi Dicksona nie uszedł nawet najdrobniejszy pyłek kurzu. Wszystko zdawało się tutaj świadczyć o tym, że w tym pokoju również nikogo nie było.

Dickson zupełnie bezwiednie przyłożył oko do teleskopu. Po chwili z ust jego dobył się okrzyk zdumienia.

— Co się stało, Dickson?

— Spójrz przez ten teleskop. Ciekawe rzeczy!

Idąc za radą Dicksona intendenta Goodfield nie ruszając lunety — rzucił przez nią okiem.

— Pokój straceń w więzieniu Hammersmith! Co za dziwny zbieg okoliczności...

Nie mówili o tym więcej, ale Tom Wills, który jak nikt, umiał czytać w oczach swego mistrza, zauważył w nich jakiś dziwny błysk. To odkrycie musiało naprowadzić Dicksona na jakieś nowe tory.

Ale Tom wiedział, że nie pora jeszcze na zadawanie pytań. Mleczal przeto i tylko starał się sam odnaleźć związek między zaginięciem miss Sharp, a jej optyczną łącznością z więzieniem.

— Czy wiesz — zapytał znów Dickson intendenta — w jakim banku lokowała miss Sharp swe kapitały?

— W żadnym. Nie miała zaufania podobno do nikogo. Na jej majątek składały się majątki ziemskie, place i domy w Londynie oraz gotówka, którą trzymała przy sobie, w tym wielkim skarbcu.

— Trzeba się postarać o prawo dokonania rewizji w tej kasie.

— Mam je. Jeżeli chcesz, możesz kasę otworzyć — rzekł intendenta.

Detektyw zbliżył się do wielkiego opancerzonego skarbcza.

— Już ktoś nas uprzedził, Goodfield. Skarbiec jest otwarty!

W obecności Toma Willsa i komisarza — Dickson ujął ciężką antabę. Kasa była tylko przymknięta. Ciężkie jej wrota otworzyły się.

Z czterech piersi wydarł się jednocześnie okrzyk zdumienia:

— Pusta!

Potężna szafa o ścianach grubych na dwadzieścia, co najmniej, centymetrów, ziała teraz ku nim swymi pustymi czeluściami. Otwarte drzwi — jakby paszcza jakiejś bestii — rozchylone były w szatańskim, szyderyczym uśmiechu.

Mała skrytka wewnętrzna była również pusta.

— Zrobimy zdjęcia daktyloskopijne? — zapytał intendenta swego przyjaciela.

— Nie wiem — odparł Dickson — czy mamy do czynienia z przestępstwem. Jeżeli by jednak tak być miało — wówczas mielibyśmy do czynienia ze zbrodniami tak wytrawnymi, że napewnoby nie pozostawili po sobie odcisków palców. Oczywiście, że zdjęcia daktyloskopijne nie mogą zaszkodzić.

Intendent Goodfield, sam w tych sprawach bardzo biegły, posypał antabę oraz ściany kasy proszkiem, po czym sam szukał, oglądał i naświetlał powierzchnię ścian. Śladów nie znalazł.

Podczas, gdy Goodfield tracił w ten sposób czas — Dickson znów poddał dokładnym oględzinom całe to dziwne pomieszczenie zaginionej powieściopisarki.

Tom Wills pomagał mistrzowi.

— Mury grube i pełne, jakby były z granitu — zauważył Tom.

Goodfield uśmiechnął się. Trochę go dziwiły te wieczne podejrzenia Dicksona, a zwłaszcza Toma, których zdaniem wszędzie należało szukać jakichś tajemniczych przejść i lochów.

Za to Dickson znalazł coś. Były to arkusze niebieskiego papieru, pokryte gęstym, zdecydowanym pismem.

— Jakieś dowody rzeczowe? — zagadnął Goodfield Dicksona.

Detektyw wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— Dowody, jak dowody. Zdaje mi się, że to tylko początek jakiejś nowej powieści panny Sharp.

— Czyżby?.. A jaki tytuł ma to nowe „epokowe dzieło“ — zapytał intendent, myśląc o czym innym.

— „Tajemnica“.

— Głupi tytuł. Nic nie mówiący i zupełnie nie oryginalny...

Po tej krótkiej dyskusji na tematy literackie, panowie z policji opuścili mieszkanie miss Sharp, pieczętując dokładnie wszystkie drzwi. Dozorca pojechał razem z nimi do miasta.

„Tajemnica“

O manii księcia Worchester przez dwadzieścia pięć lat głośno nieprzerwanie kroniki skandaliczne całej Anglii. Dopiero, gdy książę zestarzał się, gdy zmieniły się czasy i obyczaje, ludzie zaczęli w jego nałogu raczej dopatrywać się dziwactwa, niż jakichś praktyk szatańskich.

Faktem jest, że książę najlepsze swe lata spędził nad starymi księgami o wiedzy tajemnej, czarnej magii i spirytyzmie. Faktem jest, że jedynym zainteresowaniem księcia od najwcześniejszej młodości do późnej starości — była tylko wiedza okultystyczna i zjawiska nadprzyrodzone.

Książę Worchester zamieszkiwał w ponurym zamku w swej posiadłości nad skalistym wybrzeżem Kornwalii — godnym tle dla swych dziwnych i ponurych praktyk.

Ale Worchester był człowiekiem bardzo bogatym, a w żyłach jego płynęła krew królewska: książę Walii raczył rok rocznie, w okresie przelotu ptaków na południe, gościć u księcia, aby złożyć się z dwururki do zwierzyny, w którą obfitowały włóści arystokratycznego dziwaka.

Stary książę przyjmował godnie swych dostojnych gości. Stary zamek, zawierający wiele skarbów artystycznych i antyków o wielkiej wartości — jaśniał w tych dniach od splendoru.

Właśnie w okresie tych przyjęć i zabaw rozpoczyna się nasze opowiadanie.

Choć jest zaledwie początek września — dzień jest mglisty i niemal chłodny, a klucze dziłkich łabędzi przeciągają już wysoko po niebie w kierunku południowym.

Najczęściej wspaniałe te ptaki zwykły opuszczać się na wody, których nie brak w posiadłości księcia.

Okazji polowania na te rzadkie ptaki, podobnie jak ustrzelenia kilku dziłkich gęsi — nie opuści żaden myśliwy, choćby nawet był przyszłym monarchą angielskim. Toteż książę Walii właśnie w tym okresie zapowiedział swe przybycie do Worchester - Manor.

Niewzłocznie rozpoczęło się w całym pałacu zwykłe krzątanie. Pokoje przeznaczone dla królewskiego gościa zostały odświeżone, pod kuchnią zagorzał ogień, a kucharz ze sztabem swych pomocników począł szykować pasztety, pieczywo najrozmaitsze i zimne mięsiva, łowczy, leśnicy i gajowi zdwoili i potroili czujność, tropiąc zwierza w lasach i wypatrując ptactwo na wodach.

Stary książę Worchester, choć ta wizyta odrywała go od umiłowanych studiów — z trudem ukrywał dumę, jaką go za każdym razem napawało przybycie następcy tronu Zjednoczonego Królestwa.

— Chaser — rzekł książę w przeddzień przyjazdu księcia Walii, do swego zaufanego lokaja, — czy wiesz, o co mnie Jego Królewska Wysokość zapyta, gdy przekroczy próg mego domu?

— Tak jest — odparł stary lokaj. — Wiem dobrze: Jego Królewska Wysokość powie do księcia pana: „Jakże Worchester, mój kochany kuzynie, czy ci się już udało ujarzmić groźnego władcę piekieł?“

Książę, wyraźnie zadowolony aż klasnął w dłonie:

— Tak jest. Takie właśnie pytanie postawi Jego Królewska Wysokość. A jaka będzie moja odpowiedź, Chaser?

— Książę pan odpowie, że czas pracuje za niego i że kiedyś przyjdzie dzień, gdy władca piekieł zostanie ujarzmiony.

Worchester uśmiechnął się znacząco:

— Nie Chaser, tutaj mylisz się. Tym razem nie taką odpowiedź dostanie Jego Wysokość.

Stary sługa pochylił się, gotów wysłuchać nowych rewelacyj swego pana.

Ale książę uśmiechnął się ponownie i rzekł wymijająco:

— Po raz dziesiąty już przybywa Jego Wysokość na polowanie do nas. Tym razem zafiaruję mu prezent naprawdę królewski. Zgadnij, Chaser, co to będzie?

— Nie ma nic, co by było zbyt dobre dla księcia Walii — odparł dobrze wyszkolony sługa.

— Toteż złożę Jego Wysokości w darze strzelbę książąt Worchester.

Chaser otworzył usta w najwyższym zdumieniu.

Strzelba książąt Worchester! Przecież to był skarb bezcenny. Fuzja ta należała przed wiekiem do tajemniczego maharadży Nepalu, który podarował ją dziadowi obecnego księcia Worchester z wdzięczności za uratowanie mu życia podczas polowania na tygrysy. Broń ta wykonana została przez najznamienitszych rusznikarzy angielskich. Maharadża podwyższył jej wartość tysiąckrotnie przez inkrustację kolby złotem i 15 rubinami, o wartości nie dającej się wprost obliczyć.

Broń ta wystawiona była na widok publiczny w pałacu, w gablocie za szkłem niełamliwym, w pomieszczeniu o okratowanych oknach.

Tylko bardzo nieliczni wybrańcy mieli prawo oglądać tę wspaniałą fuzję. Za to stary książę bardzo często zamykał się sam jeden w pokoju i godzinami wpatrywał się w swój skarb.

Książę raczył swemu słudze udzielić dalszych wyjaśnień:

— Mój największy skarb złożę w darze Jego Wysokości nie tylko z tej racji, że obecne polowanie będzie jakby jubileuszowym na moich ziemiach,

ale również dlatego, że nareszcie duch ognia raczy odpowiedzieć na moje wezwania.

Chaser skłonił się, niewątpliwie, aby ukryć zmarszczkę niepokoju, która zarysowała się na jego czole w związku z tym oświadczeniem księcia.

— Możesz odejść, Chaser. Resztę wieczoru spędzę w sali, gdzie złożona jest fuzja i niechaj mi nikt nie przeszkadza. Sam rozpalę ogień na kominku.

To rzekłszy, stary książę podniósł się i opuścił pokój.

Sługa odprowadził księcia do progu i życzył mu dobrej nocy. Usłyszał potem zgrzyt, a po nim trzask staroświeckiej hubki i krzesiwa, którym książę rozniecał ogień.

★

W pokoju, źle przewietrzanym, powietrze było ciężkie. Dwa kandelabry po siedem świec oświetlały pokój łagodnym światłem, pozostawiając jednakże kąty dużej sali w półmroku. Kilka szczap na kominku dawało słabe, tylko z bliska wyczuwalne ciepło.

Książę przyjrzał się okuciom kominka — żelaznym kratom, które, zdawało się, więziły nawet ogień, po czym zasiadł naprzeciw gabloty z fuzją maharadzów.

Broń błyszczała tysiącami ognii. Rubiny, szmaragdy i brylanty lśniły wszystkimi kolorami tęczy.

Nagle gdzieś w kącie rozległ się głęboki i z lekka stłumiony głos:

— Worchester!

Stary arystokrata zerwał się z fotela i spojrział w ogień. Na jego twarzy nie było ani krzty lęku.

— Duchu ognia, słucham Cię!

— Dlaczego pragniesz ze strzelby maharadzów uczynić dar swemu królewskiemu kuzynowi, choć wiesz, że strzelba ta jest w istocie własnością duchów ognia?

Książę nic nie odparł. Tylko jego dłonie uchwyciły mocniej poręczę fotelu.

— Maharadża Nepalu — ciągnął dalej głos — zrodził się z ognia, a dary jakie uczynił śmiertelnym, winny prędzej lub później wrócić w świat wiecznie płonącego, nigdy nie wygasającego ognia.

Rozkazuję ci, książę, abyś wrzucił tę broń poprzez kraty w ogień i w ten sposób zwrócił ją tam, skąd pochodzi.

Worchester uczynił przeczący gest głową.

— Nie, tego nie uczynię.

Rozległ się śmiech, pełen ponurej ironii:

— Worchester, miej się na baczności! Nie odmawia się niczego duchowi ognia!

Książę ożywił się. Zbliżył się z podniesionym czołem do ognia i rzekł głosem donośnym:

— Duchu ognia! Już od wielu lat wzywam cię. Nareszcie się zjawileś. Jeśliś tak uczynił — to tylko dla tego, że zmusiła cię do tego moja wiedza. Próbujesz wyłamać się z pod mojej mocy. Ale wiesz, z ksiąg tajemnych i nauk zapisanych w księgach o siedmiu pieczęciach — że jam jest twój pan i mnie musisz być uległy. W imieniu wielkiego króla Salomona, w imieniu siedmiu wrót i siedmiu pieczęci, przepisów wielkiej i małej Kabały — rozkazuję Ci, abyś mi — duchu nieczysty nocy i płomieni — podał swe imię!

— Imię moje jest Acinmejat!

Dłonie księcia poczęły drżeć.

— Duchu ognia! Wiadomem ci jest przecie, że znając twe imię, mocen jestem wydać ci rozkaz, abyś mi się ukazał.

— Wiem o tym — odparł głos, tym razem pełen pokory.

— Acinmejacie! Acinmejacie! Acinmejacie! Wzywam cię po trzykroć i rozkazuję: ukaż mi się!

Worchester poczuł, że w ostatniej chwili ogarnia go paniczny lęk. Odwrócił się na chwilę od kominka, jakby w obawie, że stamtąd wyjdzie nie sługa pokorny, ale wróg straszliwy. Dłonie księcia zamknęły się kurczowo wokół poręczy fotela. Wreszcie stary zaklinacz duchów — wziął się na odwagę i spojrział w kierunku kominka.

Jakaś ciemna postać, tak ponura, jakby z czeluści piekieł pochodząca, cała w czerni, poczęła się rysować na tle ciemnego kąta obok wielkiego kominka.

— Acinmejacie! — bełkotał książę, czując, że z trwogi serce mu zamiera. — Acinmejacie... Zabrań mi ci zbliżyć się do mnie.

Ale demon w czerni nie zwracał najmniejszej uwagi na słowa swego rzekomego władcy. Krok za krokiem zbliżał się do księcia, który cofał się przerażony.

— Precz!... Acin-me-ja...cie... Precz!...

— Głupcze!

To słowo padło nagle, tonem suchym i okrutnym, pełnym wzdryki i nienawiści. Ale książę już tego słowa nie słyszał. Głowa jego, bezwładna, opadała już na piersi pod uciskiem tajemniczego złoczyńcy.

— Prędko się psuje taka ludzka maszynka. — Zbrodniarz zbliżył się do gabloty. Potężnym ciosem kolby rewolweru rozbił rzekomo nietłukące się szkło, odtłamał kilka kawałów i wyciągnął ramię ku strzelbie książąt Worchester.

W tej samej chwili z dna gabloty wyłoniła się jakaś niezwykła dłoń z żelaza i stali, która zamknęła się na dłoni zbrodniarza, a jednocześnie w całym domu zabrzmiały na alarm wszystkie dzwonki.

★

Harry Dickson odłożył rękopis.

To, bowiem, co czytaliśmy powyżej, to był początek powieści miss Delfiny Sharp. Przypadek zrzucił, że pierwsze kartki tego rękopisu dostały się akurat do rąk detektywa.

Początek dosyć sobie zwyczajny, jak na powieść kryminalną — zauważył Dickson. — Ten „duch ognia... Acinmejat... Ów Acinmejat okaże się niewątpliwie jakimś znakomitym bandytą; po stu najróżniejszych wyczynach kryminalnych dostanie się on, albo nie dostanie się do rąk detektywa, który pewnie ukaże się w dalszym ciągu powieści panny Sharp...

Dickson przyglądał się dalej rękopisowi

— Ho—ho!... — rzekł do siebie. — Przecież ten pan Acinmejat, to nic innego, jak anagram słowa „Tajemnica“! Panna Delfina Sharp bierze się na proste, ale wcale efektowne sposoby...

Nie wiele to wprawdzie ma wspólnego z jej obecnym zaginięciem i z moją pracą przy tej sprawie, ale kto wie...

Dickson odłożył rękopis do szuflady, nie kończąc zaczętej myśli.

Missis Crown ze swym zwykłym szurkotem pantofli weszła do gabinetu. Przyniosła świeże dzienniki, pachnące jeszcze farbą drukarską. Zaczyna go-

społyni miała zwyczaj przeglądania gazet przed wręceniem ich swemu chlebobdawcy, aby niektóre informacje zaopatrzyć w swe własne komentarze. Tak się działo i tym razem:

— Zerknęłam tylko w te gazety. Nie więcej. Bo też nie ma co czytać — same lgarstwa i tyle. Co to za głupie gadanie, że książę Walii nie pojedzie na połcie, bo mu jego strzelbę ukradli. Czy to następcy tronu nie stać na nową strzelbę? Nie dam sobie takich głupstw wbić w głowę. Nie jestem z tych, którzy się dadzą okładować... Takie gazety — to dobre do śledzi opakowania — do niczego więcej...

Pani Crown złożyła gazetę z wyrazem lekceważenia.

Ale Harry Dickson, gdy tylko rzucił okiem na pierwszy wielki tytuł na czołowym miejscu — jakby zdrętwiał ze zdumienia.

Oto, co głosiły wielkie litery na naczelnym miejscu gazety:

„FUZJA KSIĘCIA HUNNINGHAMSKRA DZIONA!

Kradzież miała miejsce w przeddzień wizyty księcia Walii. Książę Hunningham — zamordowany przed pustą gablotą, w której przechowywana była broń o bajecznej wartości. Sensacyjne szczegóły rabunku w zamku książąt

Dickson zerwał się z miejsca i schwycił głowę dwiema rękami, jak człowiek, który się obawia, że nadmiar wrażeń — czaszkę mu rozsadzi.

Oto bowiem w miarę tego, jak detektyw czytał szczegóły kradzieży fuzji w zamku książąt Hunningham — stwierdził z przerażeniem i zdumieniem, że szczegóły te całkowicie niemal odpowiadają temu, co przed chwilą jeszcze czytał w pierwszym rozdziale przypadkowo znalezionej powieści miss Sharp!

Należało tylko zmienić nazwisko. Tam książę Worchester — tutaj, w rzeczywistości książę Hunningham i oczywiście, trzeba było wyeliminować owego ducha ognia — Acinmejata — jako twór fantazji powieściopisarki!

Ale poza tym — pałac w Kornwalii, wiedza tajemna i studia nad nią starego księcia, cudowna broń maharadzów z Nepalu, doroczna wizyta księcia Walii, śmierć księcia przed pustą gablotą — te wszystkie szczegóły zgadzały się co do joty!

— Jeżeli wszystko się tak doskonale zgadza, to chyba w zamku księcia powinny działać również jakieś urządzenia alarmowe — podobnie jak w powieści?...

Dickson zastanawiał się przez chwilę, poczym uśmiechnął się do siebie z wyrazem gorczy:

Początek powieści był napisany przed dramatem rzeczywistym. Bandyta rzeczywisty napewno nie dał się ująć i nie dopuścił, aby owa żelazna dłoń zamknęła się nad jego ręką. Ew! przecież dobrze poinformowany o wszystkim i był doskonale uprzedzony! Zobaczmy co na to Scotland Yard.

— Dickson! Doskonale, że jesteś. Właśnie chciałem się z tobą połączyć.

Goodfield był mocno podniecony: — Jedziemy do Hunningham - Manor i to jedziemy zaraz. Wierz mi, że w tej sprawie zainteresowany jest nawet dwór.

— Czy nie wiadomo ci więcej niż to, co posiadają dzienniki.

— Owszem. Dzienniki nie posiadają przecież, że w gabinecie był jakby...

— ...Rodzaj pułapki, — dokończył za swego przyjaciela zdanie Dickson.

— Już wiesz o tym, niemożliwy człowieku. Skąd wiesz? Kto ci o tym mówił?...

— Mniejsza o to, pogadamy o wszystkim. Tylko powiedz czy ta pułapka funkcjonowała.

— Owszem, funkcjonowała. Zaraz dłoń schwyła nawet coś, co należało do złoczyńcy. Mianowicie jego kartę wizytową.

— Jak się ten pan nazywał?

— Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... Właściwie słowo jest proste: był to „pan Tajemnica“. Tak jest, „Mister Tajemnica zabił księcia i złożył na miejscu zrabowanej fuzji — swą wizytówkę.

Zamek strachu.

Smagane wichrem fale Atlantyku dniami i nocami ruszają do ataku na podbój zemi kornwalijskiej. Piana bieleje na ich grzywach, gdy z loskotem uderzają o nadbrzeżne skały i z wyciem wracają z powrotem ku swemu królestwu wód niezmiernych.

Hunningham-Manor góruje nad okolicą skalistą i niedostępna. Prócz kilku wiernych lokai zamek parów Anglii jest prawie zawsze pustą. Młody dziedzic tych włości tego starego zamku Lord Baland, zaraz po tragicznej śmierci księcia Hunninghama oświadczył wszem wobec, że nie ma zamiaru zaszyć się w tej głuszcy i zamieszkać w tym gnieździe mew.

Za to gośćmi tego posepnego domu są dwaj panowie z Londynu: Harry Dickson i Tom Wills.

Obaj prowadzą dochodzenia w sprawie tragedii w zamku i rabunku, obaj jak dotąd nie wiele ustalili, a na ślad zbrodniarza nie udało im się zupełnie natrafić.

Trzeba było niezwykłej zuchwałości, aby przedostać się do sali, w której stary książę przechowywał fuzję. W jaki sposób zbrodniarz znalazł się w tej sali, czy przedostał się jak głosiła powieść przez kominek, w którym przecież waliły się wtedy szczapy — czy inaczej — tego Dickson narazie ustalić nie mógł. W każdym razie kraty w kominiku i u okien były nienaruszone.

Jedna myśl nie odstępowała Dicksona.

W jaki sposób miss Delfina Sharp mogła dać dokładny opis zbrodni, której dokonano dopiero po trzech miesiącach?... Analiza atramentu rekopisu świadczyła wyraźnie o tym, że rekopis napisany był przed trzema, mniej więcej, miesiącami.

Przesłuchanie — jak najskrupulatniejsze — całego personelu zamkowego nie dało nic ciekawego.

Chaser (nawet nazwisko z powieści zgadzało się w tym wypadku z nazwiskiem kamerlynera księcia) starał się, jak mógł, przypomnieć sobie wszelkie szczegóły nieszczęścia, aby choć w pewnej mierze przyczynić się do ujawnienia złoczyńcy.

Oto najważniejsze pytania i odpowiedzi z tego przesłuchania:

Dickson: — Czy w ciągu — dajmy na to — ostatnich sześciu miesięcy mieliście wizyty ludzi nieznanymi?

Chaser: — Nie. Od okresu ostatniego polowania jesiennego, w którym Jego Królewska Wysokość uczynił nam wielki honor swymi odwiedzinami, wraz z krótkimi swymi najbliższymi — nikt do nas przez cały rok nie zaglądał.

Dickson: — Czy przez ten czas nie zmieniał się personel?

Chaser: — Nie. Ale mieliśmy wypadek ze stajennym. Jeszcze dotychczas nie wiadomo, czy to

Była zbrodnia, czy też wypadek. Moim zdaniem Miller został zamordowany.

Dickson: — Proszę mi opowiedzieć o tym wypadku szczegółowo.

Chaser: — Miller pracował u nas od 15 lat. Był to człowiek uczciwy i spokojny. Trochę mruk, ale miał oczy otwarte i nic nie uszło jego uwadze. Największą jego rozrywką było polowanie na króliki, których tutaj mamy aż za dużo.

W końcu lutego, pięknego wieczoru, poszedł Miller na polowanie od strony morza, bo i tam króliki dobierały się do naszych lichych drzew i wyjadały korzenie. Biedny Miller nie wrócił już więcej. Znaleźliśmy go pod skałami. Miał głowę rozbitą prawie na miążgę i prawą rękę zupełnie oderwaną od tułowia. Zastanawialiśmy się nad tym, jak mógł człowiek, upadając choćby z większej jeszcze wysokości odnieść aż takie rany... Ale, że w jego kieszeniach znaleziono spory grosz, jaki zwykł był Miller nosić przy sobie, więc przypuszczenie, że to było morderstwo, zostało zarzucone.

Dickson: — Czy znaleziono jakieś ślady wokół ciała Millera, albo na górze, skąd spadł?

Chaser: — Nie. Ale od tego czasu w zamku zaczęły się dziać bardzo dziwne rzeczy. Nieraz nie mogłem sobie dać rady z resztą służby, tak się bardzo lekali.

Chaser zbliżył usta do ucha detektywa i rzekł półgłosem:

— Od tego czasu zaczęła grać kobza!...

— Co za kobza?

— Kobza widmowa, prosze pana. Kobza tego ducha, który tutaj krążył.

— Proszę mi to opowiedzieć jak najdokładniej.

— Służę panu. Było to tak: Pierwszy raz usłyszeliśmy tę kobzę w nocy, przy pełni księżyca. Głos był jakiś dziwny, jakby buczał wielki bąk, czy chrabaszcz w locie, czy też jakby grał ktoś na kobzie, ale jakiejś olbrzymiej. Głos się roznosił po wydmach i po polach, a ludziom w zamku skóra cierpiała. Jego Wysokość, gdy ten głos usłyszał — był bardzo zadowolony. Wcale się z tym nie krył, że go tak ten głos cieszy. Mówił, że to duchy powietrza i ognia, o których przybycie już od dawna zabiegał — nareszcie odpowiedziały na jego wezwania.

Kilkakrotnie spóźnieni słudzy widzieli jakąś postać skuloną — biegnącą przez korytarze zamkowe.

Najlepiej widzieli tę tajemniczą zjawę dozorca Chomett i jego narzeczona Maud, oboje z naszej służby.

Siedzieli oboje na tarasie, z którego jest piękny widok na morze. Noc była księżycowa i ocean srebrzył się cały. Nagle rozległa się muzyka kobzy. W całym powietrzu coś warczało. Oboje przelecieli się bardzo tej piekielnej muzyki i pobiegli do pokoju na dole, dla służby. Ale gdy ten straszny hałas ustał i jakoś więcej go słyszeć nie było — wyszli z dolnego pokoju, aby pójść na samą górę do swoich izb. Maud była taka wylekniiona, że za nic nie chciała pójść na górę do swego pokoju sama i Chomett musiał ją odprowadzić. Przechodzili przez wielki korytarz, coś jakby hall na parterze i wtedy właśnie zauważyli na schodach jakąś postać. Skryli się od razu za figury, stojące w hallu. Księżyc oświecił cały hall i padł na drzwi prowadzące do sali z fuzją. Przy drzwiach przywarł, ni to stał, ni to siedział jakiś potwór. Wyglądał jak olbrzymi chrabaszcz. Tamtych dwoje nie mieli odwagi nawet odetchnąć — tak byli przerażeni.

Księżyc potem skrył się za chmury i oboje stracili z oczu tego potwornego chrabaszcz. Nie mieli jednak odwagi pójść na górę do siebie i noc spędzili w izbie przy kuchni.

I o tym wypadku opowiedzieliśmy księciu, który znów był bardzo zadowolony z tych wiadomości. Mówił że duch ognia przybiera najrozmaitsze kształty, że kształt chrabaszcz należy do najczęstszych, choć duch ognia może się ukazać również w postaci miecza lub sztyletu. A że to był chrabaszcz — to się księciu naszemu właśnie zgadzało, bo ten głos, który czasem w ciemności było słyszeć — to był właśnie głos chrabaszcz w locie...

Dickson: — Czy ten głos dał się potem słyszeć jeszcze?

Chaser: — Nie, przez wiele miesięcy nie słyszeliśmy już go.

Dickson: — Proszę sobie dobrze przypomnieć. Czy przed samą zbrodnią nie grała owa zagadkowa kobza, albo nie buczał ten olbrzymi chrabaszcz?

Chaser: — Pamiętam, że dopiero na dwa albo trzy dni przed samą tragedią, gdy książe mówił, że poczynił jakieś wielkie odkrycie — słyszeć było tego piekielnika.

Detektyw podziękował dzielnemu słuzącemu za te obszernie informacje i zagłębił się we własnych myślach.

— I znów się powtarzają szczegóły z powieści. I tu i tam — poczynił miał książe jakieś niezwykle odkrycie. I nawet nazwisko Chaser jest identyczne.

Tyle zdołał Dickson ustalić.

Dla wielu detektywów szczegóły te nie miałyby wielkiego znaczenia. Dickson widać przypisywał im znaczenie ogromne, gdyż odnotował sobie zeznania Chasera jak najdokładniej.

Podczas, gdy obaj odpoczywali, Dickson rzekł do Willsa:

— Zdaje mi się, że będziemy mieli nie lada do zawdzięczenia księżycowi.

— Cóż to ma znaczyć, mistrzu?

— Chaser mówił o postaci widocznej przy świetle księżyca. Zdaje mi się, że od tego będziemy musieli zacząć.

— Nie wierzy pan chyba w te koszalki opałki?...

— Koszałki opałki?... To tak się traktuje, mój kochany, pierwsze, doprawdy cenne poszlaki w tej wyjątkowej sprawie?...

Dickson wdział płaszcz nieprzemakalny i ruszył na wydmy oraz w zarośla zamku, aby szukać czegoś i coś badać.

Tom wrócił do salonu i przyglądał się galerii przodków.

— Licho nadało z tym sterczeniem w tej mysiej dziurze! — rzekł Tom do siebie. I w dodatku przecież nie się nie robi!

★

Dzień ów nie różnił się niczym od kilkunastu poprzednich spędzonych przez Dicksona i Toma Willsa w odludziu kornwalijskim. Tom wdział się w wielkim hotelu i palił bez liku papierosy, a jego mistrz czynił ciągle wypady w okolice, błądząc po pustynnych wydmach i polach porośniętych jerynami i jałowcem.

Właśnie Tom wyciągnął rękę, aby strząsnąć popiół z popielniczki — gdy na stole zauważył niewielki arkusz papieru. Był przekonany, że tego arkusza przed tym nie było.

Tom rozwinął arkusz. Poczł, że przechodzi go

drzeszcz. Poznał charakter pisma, od pierwszego rzutu oka. To był arkusz rękopisu miss Delfiny Sharp!

Początkowo sądził, że to może stroniczka z tych które posiadał Dickson. Ale już pierwsze słowa przekonały go, że jest inaczej.

Oto co czytał Tom Wills:

... Ale przodek Worchesterów nie okazał się godny przyjaźni władcy Nepalu. Wspaniała fuzja, przedstawiająca wartość większą, niż najpotężniejsze fortuny w Europie, wzbudziła w księciu pożądanie nowych dóbr, jeszcze większych, jeszcze cenniejszych.

Oto jakiś wasal radży nadsyła mu wielkie kosztowności, tytułem daniny. Przez pustynne kraje ciągnie karawana z siedmiu słoni.

Radża oczekuje swego wasala i gotuje dlań prawdziwie królewskie przyjęcie. Worchester jest wśród gości. Zasiada jak przyjaciel po prawicy władcy. Ale oto, gdy karawana jest w odległości siedmiu dni od stolicy — Worchester pod pozorem spraw bardzo pilnych żegna się z radżą. Władca żałuje niewymownie, że go przyjaciel w tak uroczystej i radosnej chwili opuszcza, ale życzenie przyjaciół było dla władcy Nepalu zawsze rozkazem.

Czy czyni nędznik Worchester?

Wiadome tylko, że wyruszył na spotkanie karawany. Wiadomo dalej, że nikt z karawany nie dotarł do stolicy radży i że władca Nepalu nigdy nie ujrzał ani kobierców wspaniałych, ani kamieni najdroższych, ani kadzideł, olejków i korzeni, które wiózł mu jego lennik. Radża nie ujrzał również nigdy więcej księcia Worchester.

Tak mówi człowiek bez nazwiska do swego nowego sługi: Acinmejata. Acinmejat słuchał tych słów z lekkiem i czcią.

— Acinmejacie! Kosztowności, skradzione władcy Nepalu i owa strzelba warta więcej niż włóści największe — to wszystko kryje się obecnie w zamku tych książąt w mglistym kraju Anglików, nad brzegiem wielkiego Oceanu! Acinmejacie! Los chce, abyś ty stał się narzędziem zemsty i pomścił zdradę popełnioną przez Worchestera. Pomścisz krzywdę szlachetnego władcy Wschodu! Powstałeś ze śmierci i nie ma takiej siły, któraby cię była zdolna życia pozbawić. Idź — dokąd ci los każe...

Tom z przerażeniem obejrzał się wokół siebie. Zdawało mu się, że gdzieś tutaj, z cienia tego zamku książąt Hunningham — wyrzy ów Acinmejat.

U drzwi salonu rozległo się dyskretne pukanie:

— Anonsuję gości, — rzekł Chaser, — przybywa do zamku lord Baland, spadkobierca tych włóści i tego domu. Jego Wysokość jest szczerze rad, że będzie mógł poznać obu panów i prosi o jak najszybsze przedstawienie go pannu Dicksonowi.

Stary sługa odszedł niezwłocznie. Musiał się zająć swym nowym chlebobdawcą.

Tom był mocno zakłopotany.

— A to licho nadało, — mówił do siebie, — że też akurat muszę być w takiej chwili sam jeden! Trzeba przedewszystkim zająć się tym nowym fragmentem rękopisu. Znów się wszystko zgadza co do joty! Ów Acinmejat ma się udać do zamku Worchesterów. Jeżeli wszystko się zgadza — to w tej chwili powinien nadejść ów tajemniczy niściciel!

Gdzie był Dickson?...

Zlekka już zaniepokojony. Tom udał się do swego pokoju, aby przebrać się i zaprezentować jak należy nowemu władcy zamku.

Było już szaro, kończył się mglisty dzień a Dicksona tak nie było, tak nie było...

Chaser zjawił się w pokoju, prosząc Dicksona na dół do lorda Balanda. Dickson wyzedł zaraz po obiedzie. Widziano go u skał nadbrzeżnych. Tyle wiedział stary sługa.

Chaser u progu salonu skłonił się nisko i przedstawił Toma Willsa swemu nowemu panu.

Młody jeszcze człowiek, mocnym krokiem przemierzał salę jadalną i z wyciągniętą dłonią podszedł do Toma:

— Mister Wills, — rzekł głosem łagodnym, choć zlekka śpiewnym jakby był Amerykaninem. — witam pana w moim domu i mam nadzieję, że pana słynny mistrz nie da nam na siebie zbyt długo czekać. Bardzobym pragnął już zawrzeć z nim znajomość.

Tom skłonił się:

— Mój mistrz powinien tutaj już być od dawna. Jestem nawet trochę niespokojny o niego. Spóźnienie o trzy godziny — to rzecz u niego niezwykła.

— Lord uspakajał Toma:

— Niech pan nie zapomina, że Harry Dickson nie jest przecież urzędnikiem, który z uderzeniem zegara odkłada pióro i zamyka swą księgę. Praca panów musi często przynosić niespodzianki. Poczekamy trochę, a mister Dickson napewno przyjdzie. Tymczasem proszę na kieliszek cocktailu.

Nagle Chaser, zawsze pelen umiaru, tym razem niemal wbiegł do jadalni. W rękę trzymał małą kartkę.

— Jakiś rybak znalazł to nad brzegiem, — rzekł zadyszany sługa do lorda. — To dla mister Willsa.

Tom rozwinął kartkę drżącymi dłońmi.

Pisał Harry Dickson.

„Tomie, nie czekaj na mnie. Najpewniej zostanę do późna w noc poza domem, a może i jutro nie zobaczymy się wcześniej, aż koło południa.

H. D.“

— Czy aby dobre wiadomości, — zagadnął lord.

— W każdym razie uspakajające. Harry Dickson dał znać o sobie. Zdaje mi się, mylordzie, że w pierwszej chwili jakoś nie doceniałem wykwiśniętego smaku tych dań znakomitych. Ale w tej chwili nic mi już nie stoi na przeszkodzie, aby odrobić moje zaległości!

Lord wybuchnął szczerem, niepohamowanym śmiechem.

Spędzili tak we dwójkę wieczór, naprawdę niezwykle miły. Jedli i pili, nie żałując ani potraw, przygotowanych przez francuskiego szefa kuchni, ani win, również francuskich.

Gdy późną nocą wstawali od stołu — Tom Wills miał głowę trochę ciężką, ale zasnął odrazu snem sprawiedliwego.

★

Czy wino szumiało mu tak w głowie?...

Tom przewracał się na posłaniu. Szum nie ustawał. Nagle, jeszcze w półśnie, Tom zerwał się i siadł na łóżku. Chrabąszcz! Przecież to warczał ów wielki chrabąszcz, o którym wspominał Chaser!

Noc była ciemna, księżyc tylko z rzadka wyłaniał się z za chmur. Tom ocknął się zupełnie. Leżał się czegoś panicznie. Sam nie wiedział czego

się lęka, ale czuł, że jemu i Dicksonowi grozi jakieś straszne niebezpieczeństwo.

Dicksonowi miałyby coś grozić?... Przecież pisał, że ma coś pilnego do załatwienia.

Aby się upewnić i uspokoić, Tom wyjął kartkę. Zapalił lampę kieszonkową.

„Tomie, nie czekaj... Na... mnie...”

Karteczka drgnęła w ręku Toma. Począł przyglądać się poszczególnym literom listu.

Tej kartki nie pisał Harry Dickson! Kartka była sfalszowana!

W ciągu minuty Tom był już na nogach.

Co teraz robić?... Czy obudzić lorda i żądać niezwłocznie pomocy oraz ludzi do poszukiwań?

Tom postanowił przynajmniej narazie działać na własną rękę.

Po omacku w słabym świetle księżyca wyszedł ze swej sypialni, zszedł po schodach w dół i znalazł się w hallu.

Posągi w starych zbrojach i dwie figury antyczne z marmuru stały nieruchome w świetle księżyca, jak zjawy. Tom zbliżył się do zbroi rycerza. Chciał stwierdzić, że nikt się w niej nie kryje, chciał zagłuszyć w sobie straszny lęk, który go nie odstępował ani na chwilę.

Dotknął żelaza zbroi... I nagle poczuł, że jakaś dłoń chwyta go za rękę i że druga dłoń zimna, jak lód ściska mu usta. Próbował się wyrwać, ale daremnie.

— Będziesz ty cicho, głuptasie?!

Dla Toma słowa te były niebiańską muzyką. Przecież to Dickson mówił, to Dickson czuwał tutaj w tym posępnym, jakby zamieszkałym przez duchy hallu. Teraz było już wszystko inaczej!

— Ani słowa. Grozi nam wszystkim śmierć. Bardzo się o ciebie lękałem. Bo tamten nie przebiera w środkach. Gdybyś był się obudził o chwilę później — kto wie co by się z tobą stało...

— Obudził mnie głos kobzy.

— Teraz rozumiem wszystko. Nie mógł się tobą zająć, gdyż miał inne sprawy, ważniejsze do załatwienia.

— Czy musimy tutaj stać?

— Teraz już nie, — odparł Dickson. Ukryjemy się w tym hallu, ale bliżej muru, choćby w tej wnęce. Musimy mieć jeszcze przez pewien czas na oku wejście i klatkę schodową.

Było im teraz wygodniej. Mogli swobodnie rozmawiać.

— Pewnie jesteś ciekaw, co się ze mną działo, — rzekł Dickson. — Byłem na skałach przybrzeżnych, gdy dojrzałem nagle wspaniały wóz, dążący ku zamkowi. Prowadził go jakiś młody człowiek w sportowym ubraniu.

— To lord Baland — wiem o tym napewno. Jadłem z nim kolację!

— Czyżby. Chyba, że zmartwychwstał. Znalazłem przed paru godzinami ciało tego pana u stóp skał na samym brzegu morskim.

— Przecież jadłem z nim kolację, mistrzu!

— Kolację jadłem z tym bandytą i mordercą, który podaje się za lorda Balanda. Słuchaj, co dalej było. Przyglądałem się wozowi, który mi zginął u podnóża skały. Dziwiło mnie, że się przez tak długi czas nie wyłania, gdy nagle poczułem, że mi ktoś zadaje cios czymś bardzo twardym w głowę.

— Tomie!... Gdyby nie ów mały pancierz stalowy, który noszę zawsze w każdej czapce —

napewno teraz z tobą nie rozmawiał. Potem poczułem, że zbrodniarz zrzucił mnie ze skał do wody. Byłem jednak przytomny i wpadłem do wody z całą świadomością tego, co się ze mną dzieje. Naumyślnie udawałem, poszedłem na dno, aby uspić czujność prześladowcy.

Wyszli przed dom i w świetle księżyca Dickson powiódł swego ucznia na brzeg morski.

— Czy nic nie spostrzegłeś, Tomie?

— Zdaje mi się, że w tym jednym miejscu plaża jest jakby więcej ubita. To miejsce, to jakby wielki kort tenisowy.

— Masz rację. Chodzi o to, aby z tego kortu tenisowego zrobić teren jak najbardziej nierówny.

Detektyw miał wypchane kieszenie. Tom zauważył to już wcześniej. Dickson wyjął teraz z kieszeni jakieś niewielkie walce, zakończone rodzajem sznurka, i rzekł do swego ucznia:

— Założymy te miny w odstępach mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Trzeba się pośpieszyć.

We dwójkę, pracując szybko, założyli kilkanaście min, obejmując cały wielki teren. Niewielka łyżka, jakby do obuwia, służyła im za łopatkę.

— Połącz teraz te wszystkie miny lantem — rzekł detektyw.

I ta robota była po kwadransie gotowa.

Dickson wyjął zapalniczkę i ostrożnie zbliżył płomień do lontu.

— Teraz uciekajmy i jaknajdalej!

Tom obejrzał się. Widział jak płomień biegnie po lonce. Miny połączone były w ten sposób, że musiały wszystkie wybuchnąć niemal w jednej chwili.

Przywarli do skały i czekali. Nagle ziemia zadrzęła i uszu ich dobiegł potężny łoskot.

Cały teren, jeszcze przed chwilą gładki i równy, wyglądał teraz jak poorany jakimś potężnym, głębokim plugiem.

Tom podniósł lśniący przedmiot. Był to znacznej wielkości szafir, grający cudownymi ogniami.

— To z zakopanego pewnie niedaleko skarbu maharadży Nepalu. Jeden z Hunninghamów obrałował karawanę, zdążającą na dwór maharadży. Oto masz dowód słuszności drugiego rozdziału powieści Delfiny Sharp. A teraz, — dodał detektyw — ukryjmy się. Bo lada chwila ktoś nam zagra na swej niezwykłej kobzie.

Dobrze ukryci, dosłyszeli przede wszystkim głuchy ton w powietrzu.

— Leca, — rzekł Dickson.

— Kto taki, mistrzu?

— Pan Acinmejat i jego zwierzchnik. Uważaj teraz! Patrz w górę, ponad polem, któreśmy tak rzetelnie zaorali.

Ton stawał się coraz donioślejszy. Powietrze jakby grało teraz niskim buczeniem.

— Samolot! — zawołał Tom.

— Tak jest. Maszyna z motorem bardzo mocnym i szybkim. Ponadto ktoś bardzo pomysłowy zastosował specjalne tłumiki, dzięki którym warczenie nie przypomina zupełnie pracującego motoru lotniczego.

— Bardzo ciekawy wynalazek, — zauważył Tom, — szkoda tylko, że zastosowany w celach przestępczych.

Maszyna nadleciała z nad morza, zniżyła lot i szykowała się do lądowania na brzegu. Lotnik zamierzał opuścić się na ten właśnie teren, który

przed dwiema jeszcze godzinami nadawał się jako jedyny na lądowisko na całej plaży. Ale widząc, że teren jest jak po wybuchu wulkanu, lotnik nagle wzbił się w górę i poczał krążyć nad okolicą, szukając, gdzieby opaść.

— Nie ma tutaj w promieniu kilkunastu mil ani skrawka terenu, gdzieby można było lądować, — zauważył Dickson.

— Wracają — rzekł Tom, widząc, jak aparat skierował się znów na morze.

— Czyżby wszystko było stracone?... — rzekł Dickson.

Ale na wodzie, cichej o tej porze i srebrzytej od światła księżyca, ukazała się jakaś ciemna linia. Z fal wyłonił się jakby grzbiet olbrzymiej ryby. Po chwili druga taka sama pręga zarysowała się na tle srebrnej wody. Po kilku chwilach Dickson, już zaniepokojony o losy swego dochodzenia, odetchnął z ulgą:

— Łodzie podwodne. Przybyli na czas!

Oba statki wyłoniły się całkowicie z wody. Na pokładzie ukazał się marynarze. Po kilku chwilach dwie lufy dział zenitowych skierowały się ku przelatującemu samolotowi.

Aparat leciał nisko. Lotnik widać nie zdawał sobie sprawy z tego, co mu grozi.

Nagle tuż nad samolotem pękł mały, biały obłoczek, a po chwili rozległa się silna detonacja.

Maszyna nagle opadła zupełnie nisko, poczem bardzo szybko wzbila się w górę.

Rozległ się drugi strzał. Po nim trzeci i czwarty. Grały działa z obu jednostek wojennych floty brytyjskiej. Aparat, podrzucony siłą wybuchu, zakreślił się w powietrzu, zakoziółkował i nagle z jego kadłuba wypadło ciało ludzkie. Z ust Toma wydarł się okrzyk przerażenia. Człowiek z samolotu wpadł do wody i zniknął w głębinie. Maszyna natomiast, tuż nad wodą, wyrównała lot i lotnik pełnym gazem ruszył przed siebie, nad ocean.

Majtkowie z łodzi podwodnej rzucili się na ratunek człowiekowi, który wypadł z samolotu. Wyłowili, jak było widać zdaleka, już tylko bezwładne zwłoki lotnika.

Dickson i Tom udali się nad brzeg. Kapitan jednej z łodzi wysłał po nich małą szalupę.

Na pokładzie leżał topielec. Z piersi jego sączyła się krew.

— Spełniłem rozkaz, — tłumaczył się kapitan. — Kazano mi go nie oszczędzać.

Tom przyjrzał się ciału.

— Lord Balan! — krzyknął młody człowiek z przerażeniem.

— Nie, — uspokoił go Dickson. — To nie lord Balan, ale Harold Bolton, wielokrotny morderca, zabójca prawdziwego lorda Balanda. To jest ów Acinmejat z powieści miss Sharp!

Zagadka wieży.

Harry Dickson i Tom Wills wrócili do Londynu już nazajutrz po opisanych powyżej wypadkach, założywszy uprzednio liczne pieczęcie w zamku książąt Hunnigham i uzyskawszy od władz wojskowych silne postערunki wokół całej posiadłości.

W domu na Baker Street zastali zwykły spokój i ciszę. Z radością oddali się pod opiekę poczciwej missis Crown — radzi, że oto znowu są w cieym porcie, po burzach i zmaganiach z wrogiem.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelach, rozmyślali nad tym wszystkim, co przeżyli.

— Muzyka owej kobzy nad zamkiem w Kornwalii została już wyjaśniona — rzekł Tom — ale wieża i w wieży miss Sharp coś grało. Tym razem chyba nie był to samolot o specjalnym tłumiku.

Harry uderzył swego ucznia po ramieniu:

— Myślałem o tym, mój kochany, myślałem przez całą prawie drogę.

— Detektyw pokazał młodemu człowiekowi spory arkusz papieru z wynotowanymi cyframi.

— Oto jest wykaz dni i godzin, w których wieża grała. Wszystko jest w porządku, mój chłopcze. Krokami olbrzymia zbliżamy się do rozwiązania tej zagadki.

— Nie wiedziałem, że ustawił pan koło wieży dozorcę, który notował owe tajemnicze odgłosy.

Dickson uśmiechnął się:

— Nie tyle go postawiłem, ile zmontowałem. Rolę dozorcę odegrał bardzo czuły mikrofon, ukryty dobrze w zieleni pod wieżą. Przewodniki tego mikrofonu prowadziły aż do terenu ćwiczeń w Wortwood, a tam siedział sobie wygodnie policjant i notował każdy odgłos w mikrofonie.

— Czy nie pójdziemy dziś do wieży?

— Pójdziemy. Spędzimy dzisiejszą noc w mieszkaniu miss Sharp, zdaje mi się, że czasu nie stracimy.

Wieczór był już chłodny. Zbliżała się jesień. Wieżycy była ponura, a jej masa rysowała się groźnie na ciemnym niebie.

— Doskonały odpowiednik dla Hunnighammanor, — rzekł Tom.

Pieczęcie były nienaruszone. Dickson wzruszył na ten widok ramionami:

— To nie ma wielkiego znaczenia. Ci panowie i tak przez drzwi nie wchodzi.

Prąd w całym budynku był już od dawna wyłączony.

— Zabawimy się w złodziei prądu. — rzekł Dickson, odwijając izolację na gołych drutach, prowadzących do zdjętego już licznika. Po chwili detektyw połączył druty.

Tom chciał teraz przekreślić wyłącznik elektryczny. Ale Dickson w ostatniej chwili ostro odciągnął jego ramię od kontaktu.

— Dajże spokój! Jeżeli ma nas ktoś odwiedzić, to uczyni to dlatego, że będzie przekonany o naszej nieobecności. Włączyłem prąd, aby pojechać windą. Nie chce mi się wspinać na górę po tym oślizgłym murze.

Znaleźli się w dwóch górnych pokojach.

— Zobaczymy, czy wszystko jest na swoim miejscu, — rzekł Tom. — Jeżeli tutaj ktoś był, to musiał zostawić ślady po sobie.

Dickson machnął ręką:

— Po co nam szukać śladów tego, który tutaj był, jeśli za chwilę ujrzymy go na własne oczy... Szkoda twej roboty, Tomie.

— Tego, — podjął Tom, — czy tej?... Moim zdaniem nikt tutaj przybyć nie może, prócz samej miss Sharp. Ona jedna jest główną spreżyłką tych wszystkich wydarzeń, które nam tyle kłopotu napędziły. I ona jedna zjawi się tutaj za chwilę, jeśli się wogóle zjawi...

Na górze było nieco jaśniej, ale i ta jasność, idąca od nieba, szarzała coraz bardziej. Zapadła już noc.

— Czy długo będziemy jeszcze czekać?... Jakos nikogo nie widać, mistrzu...

— Bądź spokojny. Gdy nasz gość będzie miał się zjawić — zawiadomi nas zawczasu. Już na dole zamelduje się, że zdaża na górę...

Tom nie chciał już o nic pytać. Czuł, że lała chwila sprawa wyjaśni się bez reszty.

Siedzieli w milczeniu. Od czasu do czasu w mury wieżycy uderzał wiatr, wyjąc żałośnie... Potem była cisza, potem znów dały się słyszeć nieco odległe skargi wiatru...

Nagle Tom zerwał się na równe nogi. Jakiś dziwny hałas, jakby pisk i sapanie szedł od dołu wieży ku górze. Był to niby krzyk, zrazu wysoki, potem coraz głębszy, i zbliżający się ku nim.

— Przygotuj rewolwer! — rozkazał Dickson, odbezpieczając broń.

Hałas nagle ustał:

Dickson spoglądał na drzwi dużej kasy ogniotrwałej, wmurowanej w ścianę.

Ku bezgranicznemu zdziwieniu Toma drzwi owej kasy otworzyły się od wewnątrz i stanął w nich człowiek cherlawy, odziany w komplet skórzany, hełm lotniczy i wielkie okulary ochronne.

— Stać! — krzyknął Dickson

— Dwie lampy elektryczne skierowały snop światła w kierunku przybysza. Błysły równocześnie dwie lufy.

Człowiek zatrzymał się. Oslupiały i zupełnie zdetonowany.

— Niech pan siada, — rzekł grzecznie Dickson.

— Tomie zasłoń okna. Znajdziesz tam specjalne zasłony z czarnego sukna. Miss Delfina, pragnąc być sama, niekiedy w ten sposób, meldowała swym przyjaciółom, że jej nie ma, podczas, gdy w istocie pracowała nad swymi powieściami. Zasłoń okna i zapal światło. Ten pan nie wie, że władczyłem prąd. Jego winda, ukryta w murze, pracowała i tak na innym kablu. Odgałęzienie od cudzej instalacji, aż z pola ćwiczeń, było zrobione już dawno i winda funkcjonowała nawet wtedy, gdy tutaj prąd był wyłączony.

Przybysz siadł w fotelu.

— Zechce pan zdjąć okulary. Mój uczeń i pomocnik chciałby się panu przyjrzeć.

I ten rozkaz spełnił przybysz bez słowa.

— Miss Delfina Sharp! Nie mówiłem — tryamfował Tom.

Dickson nie odpowiedział, tylko zwrócił się znów do przybysza:

— Pomówimy o wszystkim szczegółowo. Nie mam zamiaru poddawać... pani przesłuchaniu. To ja będę za... pania mówił.

— Miss Delfina Sharp drgnęła. Uniosła się z krzesła, jakby szukała drogi do ucieczki.

Dickson wymierzył broń w pierś złoicy:

— Załóż mu kajdany, Tomie.

— Kajdany?... Przecież to... kobieta...

— Prędeż, — rzucił Dickson mocno podniecony.

Tom znał swego mistrza i wiedział, że nie zwykł się unosić bez powodu. Zakuł przeto już bez wahania młodą kobietę w kajdany. Jej dłoń była dziwnie koścista i sucha. Z oczu jej wзираł wściekły gniew.

— Teraz, kochany nasz gościu, — podjął Dickson już ze spokojem, — niech pan posłucha, albo niech pani posłucha dziejów pewnej pisarki.

pewnego uczonego i pewnego bandyty, skazanego na śmierć.

— Delfina Sharp — zaczął Dickson — miała duży talent i w swych pracach zwykła była opierać się na danych, zaczerpniętych z własnych obserwacji. Nie wahała się przy tym nawet przed bardzo trudnymi środkami poznawania środowiska, o którym chciała pisać. Aby mogła wychodzić ze swego domu kiedy chciała i aby jej nikt nie kontrolował — zainstalowała małą windę w murze wieży. Był tam dawniej jakiś tajemny wyciąg. Drzwi kasy były jednocześnie drzwiami do szybu windy. Teraz tłoczy się również owa dziwna muzyka wieży, która taką trwogą napawała mieszkańców całego budynku, oczywiście prócz miss Sharp. Wieża grała wtedy, gdy jej druga sekretna winda była w ruchu. Był to ton istotnie ponury, bo rozchodzący się wśród starych murów, stłumiony, głuchy i jęklivy.

A teraz uczynimy małą wycieczkę w przeszłość panny Sharp.

Ojciec jej, jak wiadomo, zdobył fortunę w Indiach, pełniąc na dworze maharadży Nepalu jakieś ważne funkcje. Tam właśnie, od władcy Nepalu, otrzymał mister Sharp polecenie pomszczenia krzywdy, wyrządzonej przez księcia Hunnigham poprzedniemu władcy tego egzotycznego kraju. Sharp przysiągł, że odbierze fuzję maharadży od następców księcia. Hunnigham, który w tak haniebny sposób okradł swego przyjaciela i obrabował dążącą do stolicy karawanę.

Gdy Sharp powrócił do Anglii — zapomniał o wszystkim, czy też nie miał serca wykonać zemsty. Gdy jednak czuł, że śmierć jego jest bliska — wtajemniczył we wszystko swą jedyną córkę i jej powierzył ową misję.

Nie zapominajmy, że miss Delfina Sharp była przede wszystkim artystką i pisarką o dużym talencie. Ludzie tego pokroju uważają za rzeczywistość to, co stworzy ich własna fantazja. I właśnie panna Sharp postanowiła w fantazji wypełnić misję, którą zlecił jej na łożu śmierci ojciec. I zamiast ją spełnić na jawie — spełniła ją na papierze: napisała powieść p. t. „Tajemnica“.

Dowiedziała się dokładnie o wszystkim, co się dziś dzieje u Hunnighamów, obejrzała sobie nawet ich zamek i w ten sposób fantazja splatała się w jej powieści bardzo ściśle z rzeczywistością.

Ale w tym momencie wypadki zaczynają układać się w sposób fatalny.

Ze swej wieży widzi ona przygotowania, a potem samą scenę stracenia Boltona. Zdaleka dostrzegła miss Sharp, że dając skazanemu papierosa, doktor Brownless spojrział nań znacząco. Widziała również wahanie profesora Buleya, który, jakby przez krótką chwilę nie był pewien, czy skazaniec zmarł, czy nie.

Delfina Sharp domyśliła się, że Harold Bolton został tylko przez doktora Brownlessa uspiiony, a nie pozbawiony życia.

Tutaj znów fantazja pisarki splotła się w dziwny sposób z rzeczywistością. Broń i skarby odebrał Hunnighamom, w powieści niejaki Acinmejat — duch ognia. Czy taki człowiek zmarł wobec prawa, a żywy w istocie, czy taki Bolton — nie mógłby zostać owym Acinmejatem?...

Młoda kobieta, dzielna i energiczna nie wahała się ani przez chwilę. Udała się do doktora Brownlessa i przedłożyła mu swój plan.

A teraz — dlaczego Brownless, uczony, cieszący się szacunkiem w kołach naukowych, choć człowiek przez nikogo nie lubiany — nie uśmiercił, a tylko uśpił Boltona?... I na to jest odpowiedź. Uczynił tak, aby wprowadzić w czyn swe dawne marzenia naukowe: aby móc czynić doświadczenia wiwisekcyjne na żywym człowieku!

Delfina przybywa w nocy do laboratorium doktora, który akurat przywraca do życia skażoną.

Delfina grozi mu, a potem się z nim układa. Niech jej odstąpi owego Acinmejata, niech mu pozwoli odegrać rolę mściciela, jak przewiduje powieść — a ona jemu, doktorowi dużo za to zapłaci. Brownless waha się. Delfina proponuje mu bardzo wysoką sumę — ale stawia dwa warunki, strzelba przejdzie na jej własność, a skarb zostanie zwrócony obecnemu władcy Nepalu.

I wówczas w umyśle Brownlessa poczyna kielkować zbrodniczy plan: przecież on sam mógłby zrobić to wszystko, co zamierza miss Sharp. POCO mu współniczka?... Czy po to, aby cały skarb Nepalu wrócił do Indji. Brownless jeszcze raz dowiaduje się szczegółów powieści, która od tam ma się stać jego przewodnikiem i decyduje się.

Dickson spojrzawszy na skuloną postać, siedzącą naprzeciw i rzekł podniesionym głosem:

— Brownless zdecydował się. Usunął z drogi przeszkodę do zdobycia bajecznych skarbów maharadzów Nepalu. Brownless zabił Delfinę Sharp! Zabił ją i zajął jej miejsce w życiu!

Człowiek, siedzący naprzeciw, zerwał się teraz z miejsca.

Jednym ruchem swych skutych rąk zerwał z głowy kask lotniczy, a za nim perukę.

— To prawda! Prawda! Ale głupcze! Przecież w moim laboratorium znaleziono mężczyznę, nie kobietę. Przecież dlatego wszyscy byli przekonani, że to ja zginąłem z ręki Boltona!

Dickson skinął na Toma:

— Zdejm kajdany z rąk tego niegrzecznego pana. Pomoże nam usunąć charakterystykę. Doktorze Brownless, jestem przekonany, że jest pan uczciwym graczem. Trzeba umieć przegrywać. Przegrał pan, niech pan zmyje swą charakterystykę i niech pan nam poda tylko kilka brakujących mi szczegółów. Bo miss Delfina, ufając tak wybitnemu uczonemu, opowiedziała panu wszystko, bez wyjątku. Nic nie ukryła. A zatem: Delfina Sharp nie była kobietą!

Przestępca zaklął.

I to pan wie? Czego pan wobec tego nie wie?

— Nie wiem dla czego ukrywała swą pleć? Nie znam dziejów jej dzieciństwa.

— Niech pan zatem słucha. Delfina Sharp była synem maharadży Nepalu. Ojciec chciał niemowlę zabić, gdyż ów Hunnigham, podsunął na dwór maharadży jakiegoś astrologa, który zapowiedział, że noworodek przyniesie ojcu nieszczęście. Hunnigham obawiał się bowiem, że gdy maharadża będzie miał syna — zapomni o swym przyjacielu Angliki. Sharp wyratował niemowlę od niechybnej śmierci, i aby tym lepiej dziecko ukryć — przebrał je w szaty dziewczynki. W ten sposób powstała do życia Delfina Sharp — mężczyzna w niewieścich szatach.

Pozbawiłem ją życia dwoma wystrzałami z rewolweru. Jestem jednym z najzręczniejszych chirurgów w Anglii a moje operacje plastyczne wywołały sensację w całym świecie. Jak rzeźbiarz — potrafiłem rysy zmarłego wymodelować na podobieństwo swoich. Zastosowałem kwasy i inne środki. Tylko po uważnej i specjalnie w tym celu prowadzonej sekcji można było ustalić — że to nie ja, a młody mężczyzna został zabity w moim własnym laboratorium.

Przebudziłem Boltona. Pojechałem do wieży, dostałem się do niej sekretną windą, wziąłem powieść i działałem według niej dokładnie. W zamku, gdy wydostawałem z piwnic część skarbu — zginęło mi sporo kartek...

— Jedną z nich znalazłem — rzekł Tom.

Kilkakrotnie przylatywałem, — kontynuował zbrodniarz, — przy świetle księżyca, aby zabierać skarby i badać teren. Towarzyszył mi Bolton. Ale to człowiek zupełnie tępy. Prostu bestia krwiożercza i nie więcej.

Ostatnim razem nie mogliśmy lądować, gdyż poorał pan nam lotnisko. Potem byliśmy pod ostrzałem łodzi podwodnych. Udało mi się ująć ku brzegom francuskim, ale moja maszyna była uszkodzona. Niedaleko Cherbourg — opadłem na wody. Wyłowił mnie kuter rybacki. Dostałem się wreszcie na samolot, lecący do Anglii. I przybyłem tutaj jak najprędzej, aby zabrać resztę.

— Gdzie jest ta reszta? Gdzie cały majątek miss Sharp w gotówce i w papierach?

— Proszę, niech pan pozwoli.

Zbrodniarz ruszył ku drzwiom kasy, ale i jednocześnie ku drzwiom sekretnej windy.

— Stać!!...

Było już za późno. Złoczyńca z potężną siłą odepchnął Toma. Drzwi kasy zatrzasnęły się. Wieża znów zagrała...

Dr. Brownless zniknął. Harry Dickson nie odnalazł ani strzelby maharadzów, ani skarbu z Nepalu.

Koniec.

Następny **Nr. 8 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 1-go marca zawierać będzie przygodę p. t.

KROLNOCY

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się** w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

1. „Wyspa Grozy“.
2. „Tajemnica egzotycznego władcy“.
3. „Alarm w przestworzach“.
4. „Dom na moczarach“.
5. „Ludzie bez adresu“.
6. „Szalony burmistrz“.

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

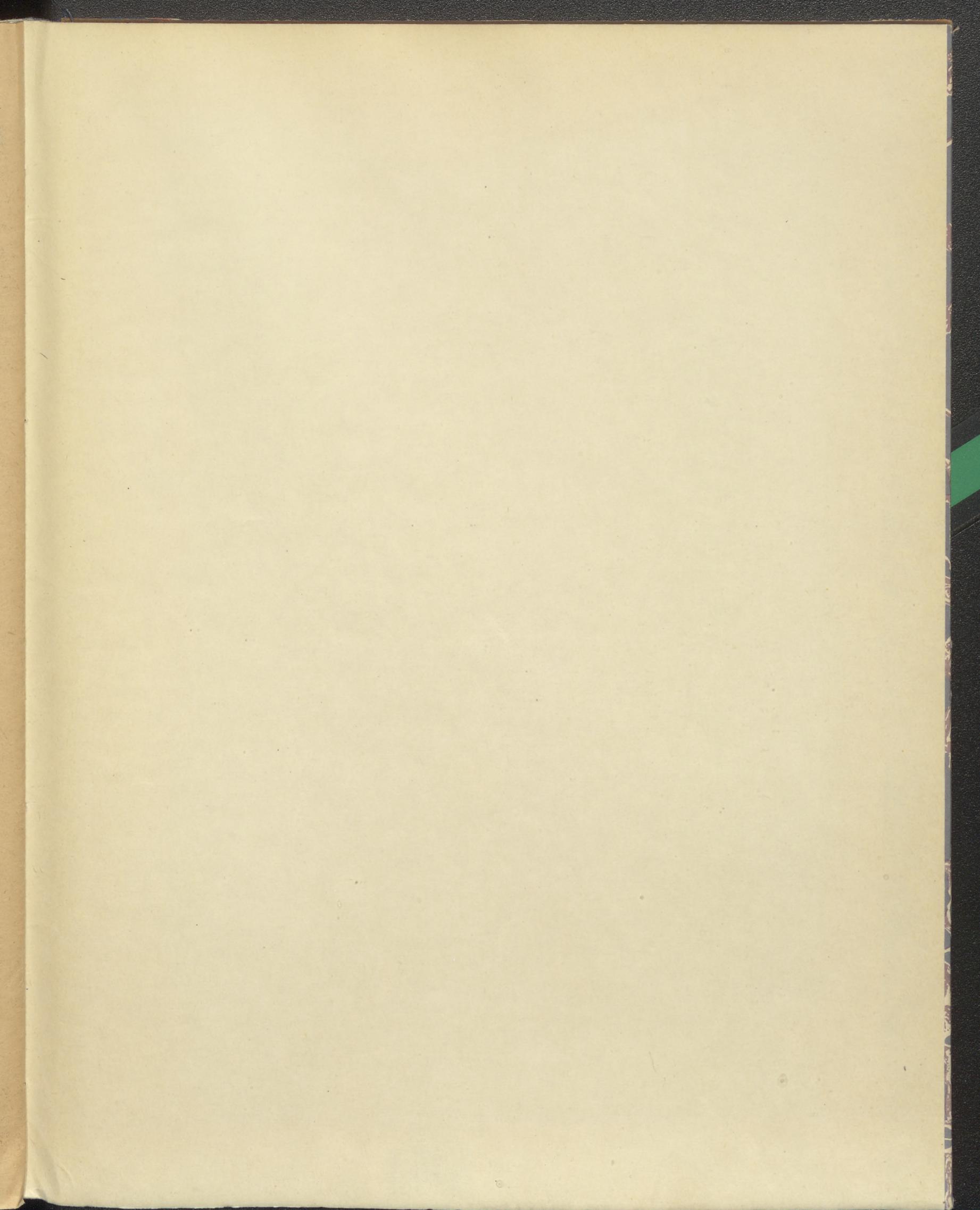
10 gr.

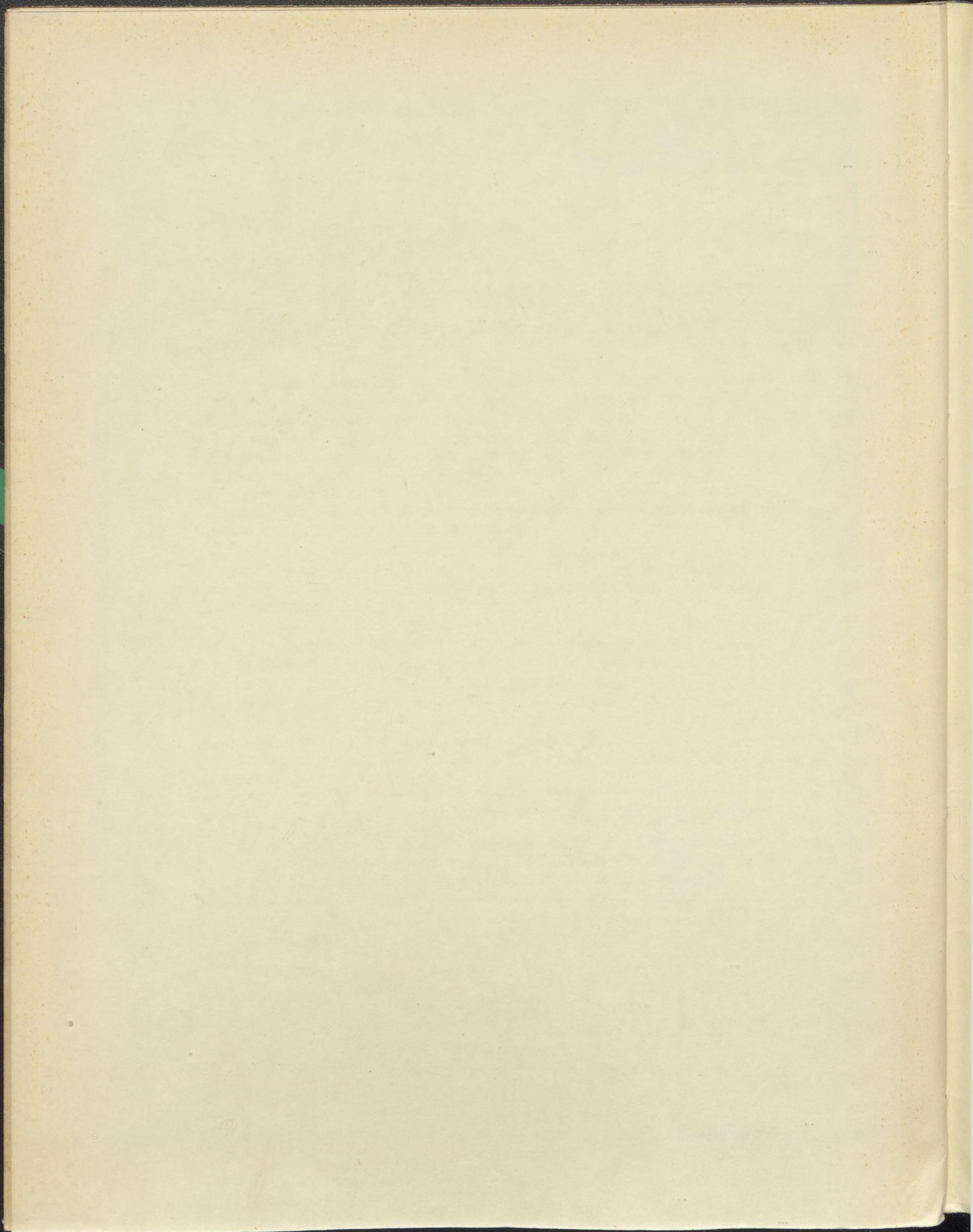
Co tydzień ukazuje się jeden ze-

szyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10 gr.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365848





623405^{zdj}

4

